

WACŁAW SIEROSZEWSKI

WŚRÓD
KOSMATYCH
LUDZI

BIBLIOTEKA
L. GNIA 708.

JG
WARSZAWA — 1938.

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „ROJ”.

Wśród kosmatych ludzi

Wacław Sieroszewski



Towarzystwo Wydawnicze „RÓJ“, Warszawa, 1938

Pobrano z Wikizródół dnia 22 czerwca 2023

WACŁAW SIEROSZEWSKI

WŚRÓD
KOSMATYCH
LUDZI

WARSZAWA — 1938.

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE
„RÓJ“.

Wyprawa moja na „Daleki Wschód“ miała mocno „polityczny“ początek. W roku 1900 u prof. Korzona żandarmerja rosyjska znalazła w czasie rewizji jakiś niefortunny list, gdzie wymienione były nazwiska Stefana Żeromskiego i moje. Na podstawie tego listu oskarżono nas ni mniej ni więcej jak o zorganizowanie wspaniałego pochodu robotniczego dookoła pomnika Mickiewicza w

dniu jego odsłonięcia, oraz przypisano nam autorstwo płomiennej z tego powodu proklamacji. Pochód istotnie był wspaniały, a proklamacja bardzo piękna, lecz twórcami ich byli Józef Piłsudski i Stanisław Wojciechowski. Żandarmerja jednak tak była zachwycona jej „stylem“, że uparcie dowodziła, iż pisać ją musiał jakiś literat. Zostałem więc osadzony w cytadeli, a Żeromskiego ocalił jedynie krwotok, jakiego dostał w tym czasie. Zostałem wypuszczony za kaucją pod nadzór, lecz śledztwo ciągnęło się długo, wreszcie po roku doszło do mnie, że będę musiał „wrócić“ do ojczyzny (na rodzinu) t. j. do Irkucka, gdzie po spędzeniu 12 lat w kraju Jakutów i trzech w Irkucku zapisano mię do ksiąg mieszczaństwa. Nie uśmiechał mi się ten „powrót do Ojczyzny“, zwróciłem się więc z prośbą o pomoc do senatora P. Siemionowa, wice-prezesa Petersburskiego Towarzystwa Geograficznego w Petersburgu, którego to towarzystwa byłem członkiem.

Siemionow już raz wyrobił mi był prawo powrotu do Polski wbrew oporowi „Ochrany“ za napisanie monografji o Jakutach nagrodzonej złotym medalem Tow. Geogr.

Mój dostojny protektor obiecał uczynić wszystko, co będzie w jego mocy i w tym celu kazał sobie przedstawić moją sprawę. Po kilku dniach oznajmił mi ze smutną miną, że nic zrobić nie może, że General-Gubernatorstwo Warszawskie ma w sprawach politycznych „szeroką autonomję“, że „żandarmerja tutejsza bardzo jest zawzięta na rodzinę Sieroszewskich i nie bez powodu“. Tu pokazał mi wypis z Ochrany, gdzie, poczynając od dziada Kajetana,

szwoleżera 1812 roku i oficera wojsk „insurgenckich“ z 30 roku, wyliczeni byli wszyscy „buntownicy“ Sieroszewscy: stryjowie i ojciec mój w 63 r., dwie siostry rodzone i brat stryjeczny w 80-tych latach, wreszcie ja sam w tym wianku scharakteryzowany jako „osobo uporstwujuszczij“ i niebezpieczny. Czułem się „zdruzgotany“.

— No, to nic!..... My zrobimy tak!..... — pocieszył mnie zacny senator, widząc moje zmartwienie. — My interesujemy się obecnie Dalekim Wschodem. Zorganizujemy Panu do spółki z Akademią Nauk ekspedycję do Ajnów... Jest takie plemię na północnych wyspach Japońskiego Archipelagu, ciekawe plemię kosmatych ludzi, bardzo podobnych do naszych chłopów... Pan tam pojedzie na rok albo dwa, przywiezie Pan materiały, opracuje je... Wydamy książkę i znowu dostanie Pan za nią powrót do Ojczyzny, jak to raz już było za „Jakutów“!...

Co miałem robić?!... Po paru dniach namysłu i walki z sobą, gdyż przykro mi było rzucać świeżo założoną rodzinę i przed ledwie paru laty odzyskaną Ojczyznę, zgodziłem się, postawiwszy za warunek „że będzie mi dodany do pomocy nie kto inny jak Bronisław Piłsudski, starszy brat marszałka Piłsudskiego, przebywający naówczas na Sachalinie w charakterze zesłańca politycznego. W ten sposób ekspedycja nabierała cech całkowicie polskich i w dodatku B. Piłsudski władał doskonale ajnoskim językiem i był bardzo wśród Ajnów popularny, gdyż ich wspierał, bronił i otaczał opieką. Tytułowano go nawet żartobliwie „królem Ajnów“.

Warunki moje zostały przyjęte i po półrocznych wstępnych studjach udałem się w podróż przez Mongolję, Mandżurję, Chiny do Japonji.

W połowie czerwca 1903 roku znalazłem się w Hakodate, największym porcie południowego wybrzeża wyspy Hokkaido — dawniej Jesso. Zatrzymałem się w japońskim hoteliku Kito, gdzie za jednego „jena“ (2 zł.) dziennie dostałem maluchny, czyściuchny, wyłożony matami, pokoik; całe jego umeblowanie składało się z parawanika, brązowej fajerki (hibaczi) oraz wiszącego na ścianie „kakemono“ z wizerunkiem stojącego zórawia. Stołowałem się w japońskiej restauracji, gdyż kosztowało to o wiele taniej a paro-miesięczny pobyt w Japonji już mię oswoił i z kuchnią japońską i z obyczajami i nawet z językiem. Porozumiewałem się doskonale za pomocą małego angielsko-japońskiego słownika; pokazywałem rozmówcy umieszczony obok każdego wyrazu chiński hieroglif, rozmówca kiwał głową, wciągał powietrze i momentalnie odnajdywał w tej samej książeczce potrzebny mu hieroglif z tłumaczeniem w angielskim języku. Wszystko powiązane dźwiękami i gestami o wszechświatowym znaczeniu oraz temi kilku słowami „pigeon’u“^[1], które każdy szanujący się japończyk zna, bo ich w szkole uczą po angielsku — tworzyło malownicze rozmowy, niezmiernie wesołe i ożywione. Cały hotel, nie wyłączając gości, zbiegał się, aby ich słuchać, a gdy rozmowy odbywały się w sklepach momentalnie gromadziło się pół ulicy. Wszyscy gadali, wyrywali sobie moją książeczkę i śmiali się do rozpuku. Szczególniej

hotelowe „mus-me“ (dziewczęta) z upodobaniem wyszukiwały hieroglify wywołujące burzliwą wesołość, w rodzaju: „daj podarunek“. Probowałem dowiedzieć się coś o Ajnach, ale odpowiadano mi krótko: „far“ (daleko) z odpowiednim ruchem ręki, a ładne „mus-me“ wydymając usteczka twierdziły, że „to nic ciekawego“. że „ai-nu desu durty (dirty) (są brudni), że pochodzą od psa, że są od pasa jak psy i mają nawet ogony!“ W oczekiwaniu na przyjazd B. Piłsudskiego, który dawno już powinien był przybyć, włóczyłem się po mieście i okolicach, zwiedzając świątynie, teatry, muzea. Wybierałem się nawet na szczyt pobliskiego wulkanu Komagatake, kiedy pewnego dnia wpadł do mnie konsul rosyjski p. Hedenström i zażądał, abym przeniósł się z hotelu do konsulatu, gdyż inaczej on nie odpowiada za moje bezpieczeństwo, wobec rozpalającej się coraz gwałtowniej „nacjonalistycznej agitacji japońskiej“!...

— Z tego nic nie będzie! Oni się nie odważą, ale mogą wydarzyć się ekscesy... Tłum japoński jest nieobliczalny... Parę lat temu naskutek agitacji gazet z powodu zajęcia Kiao-czao przez Niemców, został tutaj w biały dzień zabity konsul niemiecki i śledztwo nie wykryło winowajcy... O, azjaci są układni jak tygrysy, lecz okrutni... Miej się pan na baczności i nie włócz samotnie po okolicy, szczególnie nie zbliżaj się do tutejszej twierdzy i nie fotografuj nic!... — dokończył znacząco.

Przysłał ludzi i przeniósł mię prawie gwałtem do siebie. Było mi tam bardzo wygodnie, ale dość... nudno. Między życiem i mną wyrósł odrazu przykry mur; wczorajsi moi

znajomi zbywali mię chłodnym powitaniem, wesołe muszki nie uśmiechały się więcej, a gromady dzieci, które zwykle za małą opłatą z radosną wrzawą pomagały mi zbierać rośliny i żuki, znikły bez śladu... A Bronisław Piłsudski wciąż nie przyjeżdżał. Daremnie słałem do niego listy, depesze, wreszcie pieniądze, w przypuszczeniu, że brak ich nie pozwala mu przybyć. Nie otrzymałem nawet odpowiedzi!... Już przemyślałem o zastąpieniu Bronisława Piłsudskiego przez kogo innego, lecz tym innym mógł być tylko Japończyk, co komplikowało sprawę, gdyż Ajnowie uważają Japończyków za grabieżców swej ziemi... Po długich rozważaniach postanowiłem jechać sam jedynie ze słownikiem ajnosko-angielskim pod pachą. Przecież raz już w życiu dałem sobie radę w podobnych okolicznościach wśród Jakutów.

Nastała pora deszczów (jamase), przejmujący muson dął bez przerwy z Pacyfiku, a nisko płynące chmury zalewały nas nieskończoną powodzią. Doskonała pora do spisywania legend, bajek i wierzeń... Siedziałem w konsulacie i wściekałem się na przymusową bezczynność... By zapełnić czas, zbierałem rozmaite wiadomości od Japończyków. Nareszcie pewnego dnia przyszedł list z Sachalinu. Przywiozła go konspiracyjnie jakaś nauczycielka ludowa, jadąca na kurację do ciepłych kąpielii japońskich. Bronisław uwiadamił mię, że depesze i pieniądze otrzymał, lecz nie może wyjechać, gdyż gubernator Sachaliński „korzysta z szerokiej autonomji“ i wbrew rozkazom z Petersburga oraz z Generał-Gubernatorstwa Wschodniej Syberji nie puszcza mnie“...

Ach ta biurokracja całego świata, tak skwapliwie korzystająca z szerokiej autonomji na krzywdę obywateli i tak lękliwa, gdy chodzi o dobro i ułatwienie życia! Znów poleciały rozpaczliwe depesze do Petersburga i do Irkucka. Tymczasem wybrałem się z misterem Batchelorem (czytaj — Baczlór), kierownikiem misji prezbiterjańskiej w Hokkaido do pobliskich osad ajnoskich nad Volcano Bay. Wycieczka była cudowna — parowcem do Mororanu, a stamtąd żaglówką kilkadziesiąt kilometrów przez zatokę, dalej konno do miasteczka Mombeku i wioski Uru. Okolica zaludniona przez Japończyków, doskonale uprawna, z doskonałymi drogami i czyściutkiemi japońskimi domami, niczem nie różniła się od innych północnych prowincyj Japońskiego archipelagu; nawet ta sama roślinność: na polach: ryż, pszenica, jęczmień, bób, indygo, rzepak, len, a po lasach: dęby, buki, orzechy i sosny, a wzdłuż dróg z obu stron szeregi pięknych miękko-listnych „kirinów“, zaaklimatyzowanych tu przez Japończyków, których lekkie, dźwięczne drzewo używane jest do wyrobu harf i sandałów. Wśród gęstej ludności japońskiej, wkropione były tu i owdzie resztki Ajnów, maluchne wioski z dwóch — trzech trzciniowych chałup, nakrytych wielkimi trzciniowymi dachami o stopniowanym poszyciu, podobnem do polskich strzech... Zatrzymywaliśmy się zwykle w tych chatkach, gdyż większość owieczek mistera Batchelora należała do Ajnów. Podczas, gdy duchowny sprawował swoje obowiązki, spisywał akta, wysłuchiwał skarg, godził spory, odprawiał obrządki, — ja oglądałem obejścia, naczynia, odzież, zaznajamiałem się z dziećmi, fotografowałem domy

i ludzi... Dużo znajdowałem jeszcze śladów starych wierzeń i obyczajów: tu i owdzie przed domami nawróconych stały jeszcze wspaniałe „nusa“ z wiórkowych fetyszów „inau“, z zatkniętymi na palach, zeszlęmi głowami dawno zabitych niedźwiedzi, lisów i wilków... W domach widziałem również po kątach stare wiórkowe „inau“, lecz wszystko to jakoś kryło się wstydliwie lub znikало z chwilą pojawienia się Wielebnego Ojca. To samo działo się z memi badaniami. Krajowcy odpowiadali niechętnie i nieszczerze na moje „świeckie“ pytania, a i sam Wielebny tłumaczył je w trochę dziwny sposób, właściwym mu stylem biblijnym. Bardzo był życzliwy dla moich poszukiwań, ale różniliśmy się niezmiernie w poglądach i dyskusja nasza prowadzona częściowo po angielsku, częściowo po rosyjsku, gdyż mister Batchelor znał ten język, — nie doprowadzały do niczego. Wielebny szukał wszędzie śladów religii objawionej ludziom niegdyś przez Boga, zaćmionej i upadłej jedynie wskutek ich grzechów i zdziczenia, ja zaś widziałem przed sobą w wierzeniach Ajnów wspaniałe resztki wielkiego szamańskiego kultu, zdruzgotanego przez najście buddyzmu i konfucyanizmu. Mister Batchelor upierał się, że Ajnowie są rasą białą, która przybyła na ten południowy archipelag z Syberji przez Mandżurję i Koreę. Ja byłem skłonny szukać w tem tajemniczem plemienu, tak bardzo różnem od otaczających żółtych i bezwłosych narodów, szczątków zaginionych praludów, mieszkańców lądu zapadłego przed wiekami w głębi Oceanu Spokojnego — Wschodniej Atlantydy. Mówiły o niej nietylko głuche podania, lecz i badania geologiczne, wykazujące, że wyspa

Jesso oraz archipelag Kurylski są starsze od południowych i środkowych wysp Japońskiego archipelagu, mówiły o niej pomiary głębín morskich, mówiły resztki takich samych odmian botanicznych i zoologicznych, znajdujących na odpowiednich brzegach Ameryki oraz Azji, których nie było w głębi lądu, a które nie mogły być zaniezione tam prądami, jak niektóre gatunki żuków i roślin, ani wiatrami... Wymierające obecnie ludy jak: koryacy, kamczadale, giljacy, goldowie, a szczególnie Ajnowie, tak bardzo różniły się od swych obecnych sąsiadów a tak wiele miały odpowiedników w obyczajach i powierzchowności wśród wymierających lub wymarłych ludów Ameryki, że mimowoli, powstało w umyśle przekonanie, o bliskiej i łatwiejszej w dawnych czasach łączności między obydwojma kontynentami zapomocą mostu zaginionych obecnie wysp, może nawet lądów. Jeżeli na tych ziemiach mieszkały jakieś narody, to Ajnowie bezwarunkowo byli ich pozostałością. Wykrycie, na ile to przypuszczenie jest prawdopodobne, było mojem zadaniem. Wobec tego pośrednictwo zacnego mistera Batchelora, mimowoli zabarwiającego w swym przekładzie chrześcijanizmem każdą czerpaną przez niego wiadomość o Ajnach, ogromnie utrudniało mi pracę. Wzdychałem więc coraz goręcej do przyjazdu Bronisława Piłsudskiego, w miarę, jak zapalałem się do rozpoczętej pracy. Jedną usługę znakomitą oddał mi mister Batchelor, mianowicie ułatwił mi pomiary antropologiczne. Ajnowie, jak wogóle wszystkie ludy pierwotne, boją się podobnych niezrozumiałych czynności, które według nich oddają ciało mierzonego lub

fotografowanego we władzę operatora. Opór Ajnów w tym wypadku zwiększała obawa, że pomiary spowodują ich pobór do wojska japońskiego — od czego byli dotychczas wolni. Udało się jednak Wielebnemu Ojcu pokonać uprzedzenie swych parafjan i dokonałem kilkanaście pomiarów kobiet i mężczyzn w okolicach Mororanu oraz Uso. — Przekonały mnie one jednak, że wpływy Japończyków zagrażają nie tylko obyczajom i wierzeniom, naczyniom i odzieży Ajnów, lecz również i ich fizycznemu typowi. Większość zmierzonych byli to metysi, może nawet kwarteroni japońscy. Wskazywał na to kształt czaszki i muskulatura, wreszcie o wiele słabsze owłosienie, niż u Ajnów, mieszkańców wschodu i północy Jesso oraz Sachalinu. Wróciłem więc wielce zmartwiony do Hakodate i przemyślałem, jakby będzie zaradzić, gdy niespodzianie zjawił się Bronisław. Wesoły, ożywiony, opowiadał mi niezmiernie zabawnie, jaki popłoch wśród urzędników Sachalinu wywołał kategoryczny rozkaz z Petersburga wydania mu zagranicznego paszportu...

— „Są przekonani, że to jest polska intryga i że Pan nie jest Sieroszewskim, lecz moim bratem Józefem, wielkim rewolucjonistą, który tu po mnie przyjechał!... Nie śmieli się jednak dłużej opierać i, oto jestem!... Przywiozłem ze sobą też tłumacza sachalińskiego, pół Ajna, pół Japończyka, który zna oba języki, a nawet również mówi po rosyjsku... Nazywa się Taronci... Bardzo porządny człowiek! On nam bardzo ułatwi stosunki z władzami japońskimi, gdyż ani pan, ani ja nie umiemy po japońsku“...

Chociaż pensja i żywienie Taronciego bardzo obciążały skromny budżet naszej wyprawy i chociaż biegające oczki i lisia bródka metysa niepodobały mi się wcale, musiałem się zgodzić, gdyż odesłanie go zpowrotem na Sachalin oraz wypłacenie według umowy części pensji za zawód, wyniosłyby prawie połowę kosztów utrzymania. — Zabraliśmy się energicznie do przygotowania wyprawy, zakupiliśmy potrzebne produkty i rzeczy i opracowaliśmy plan badań, według którego mieliśmy je zacząć od najdalej położonych na wschód i północ osiedli, gdzie najslabiej docierała fala japońskich wpływów. Stamtąd, ustaliwszy zasadniczy typ Ajnów fizyczny i obyczajowy, zamierzaliśmy posuwać się zwolna ku ośrodkom więcej zjaponizowanym, śledząc za odchyleniami w folklorze, wierzeniach i rasie. Ale zaszedł wypadek, który cały nasz plan odrazu wywrócił do góry nogami. Wpadł pewnego dnia do mnie Bronisław i z wielkiem podnieceniem oznajmił, że układa się wszystko doskonale, że już zawiązał przyjazne stosunki z miejscowymi Ajnami, że należy według niego plan zmienić i znajomość wykorzystać...

— Jak wykorzystać?... Co wykorzystać?!

— Zaraz ich przyjąć!...

— Kogo?

— Ajnów.

— Gdzie oni są?...

— Tu są...

Wskazał ręką na niedomknięte drzwi korytarza, gdzie istotnie dostrzegłem wspaniałą, grzywiastą głowę rosłego Ajna. Zaprosiłem go gestem, żeby wszedł. Był ubrany w

białe, długie kimono, wyszyte czarno-niebiesko-czerwonymi ajnoskimi deseniami. Nogi miał bose, potężne łydki, okryte podartymi, brudnymi nogawicami. Wszedłszy, usiadł natychmiast na ziemi i zaczął gładzić, opadające na uszy puklami włosy oraz czarną, lśniącą i długą brodę, poczem pocierał dłonią o dłoń modlitewnie złożone ręce. Przykucnąwszy naprzeciw gościa, czyniłem to samo, gdyż Bronisław już mię nauczył był tego ajnoskiego powitania — „karakty“. Pojawiła się niezbędna herbata i zaczęła rozmowa. Gość opowiedział nam, że zwie się Spańram Nomura, że mieszka we wsi Siraoj, na wschód od Mororanu, na morskim brzegu. Ma tam własne gospodarstwo, łodzie i sieci, lecz przyjezdny Japończyk skusił go obietnicą wielkich zarobków, więc zgodził się udać wraz z żoną i paroma sąsiadami na wystawę do Osaka, gdzie mieli „udawać“ wieś ajnoską i pokazywać „święto niedźwiedzie“. „Pokazywali“ je trzy miesiące, przedsiębiorca japoński oszukał ich, nie zapłacił ani grosza, zbankrutował i uciekł. Posprzedawali więc wszystko, co mieli: rzeczy, kotły, czajniki, srebrne upiększenia... — ledwie im starczyło na bilet kolejowy do Hakodate!... Tu znaleźli się bez grosza, bez znajomości...

— Nawet przenocować nie mieliśmy gdzie, bo do oberży nas bez zapłaty nie puścili... Od wyjazdu z Osaka nie mieliśmy w ustach ziarneczka ryżu... Żona chora... Jeszcze na wystawie dostała „beriberi“, co też jej kazali pokazywać... Nie wiemy gdzie się zwrócić... Nikt nam tu nic nie da... Jesteśmy „ajnu“... Japończycy nas nie lubią. Naigrywają się... Choć się utop!... Wtem Dobry Duch zesłał

nam tego wspaniałomyślnego Niszpa (pana)...

Wskazał głową i wdzięcznym spojrzeniem Bronisława, pochylił się całym korpusem, znów gładząc, swoją „uroczystą brodę“.

— Istotnie dziwne zrządzenie!... — podchwycił Bronisław. — Patrzę, stoją na ulicy, rozglądają się bezradni. Podchodzę. „Co tu robicie? — pytam po ajnosku. Myślałem, że grom w nich trzasł. Zdębieli. Kobieta zaczęła płakać. Zbiegli się Japończycy. Odprowadziłem więc Ajnów na stronę, rozpytując co i jak... Kupiłem im „bento“ (pudełeczko z ryżem gotowanym)... Wtedy dopiero rozwiązały się im języki... Czy nie cud?... W wilję naszego wyjazdu... Rozumie się, że pojedziemy do nich... To nas od razu wprowadzi w rdzeń ajnoskiego życia i to na stopie przyjacielskiej... Zupełnie będzie inna robota, ja ich znam. Za kruszynę serca zapłacą nam całą duszą... Dałem im jena (dwa złote), ale to mało, trzeba im dać na bilet kolejowy, na tytoń, na najpilniejsze potrzeby... — dowodził żarliwie Bronisław. Toronci, który zjawił się w trakcie naszej rozmowy, był o wiele wstrzemięźliwszy.

— Dać trzeba ale nie za dużo... — radził spokojnie.

Daliśmy im cztery jeny. Nomura nie posiadał się z radości. Szczere wzruszenie malowało się na jego mięsistej twarzy, chciał żonę wysłać do domu a sam miał zostać, aby nam pomagać i towarzyszyć. Po naradzie odrzuciliśmy propozycję. Niech lepiej jedzie naprzód i przygotowuje wszystko u siebie, gdyż tu w mieście nie jest nam potrzebny. Odszedł, powtarzając nieskończoną ilość razy: „ejro-ro-roi!“ (śliczny podarunek) „jai-ra-igere!“...

(dziękuję).

W kilka dni potem wyruszyliśmy kolejką z Mororanu na wschód. Tor biegł brzegiem Oceanu: miejscami lazurowe fale lizały żółty piaszczysty nasyp. Słońce zalewało potokami żywego złota okolicę, cudnie odświeżoną przez niedawne ulewy. Ciemne kędzierzawe od lasów przylądki podszyte bladymi ławicami wrzynały się daleko w błękit morza i nieba. Od strony lądu ciągnęły się w nieskończoność łańcuchy fioletowych gór, uwieńczonych różowymi skałami. Stożki niektórych dymiły się — to wulkany. Najbliższy ale nie największy, blade-liljowy stożek spał w lazurach poranku. Na dolinie między morzem i górami dużo wsi, miasteczek i pojedynczych domków.

Wśród nich wyróżniały się wielkie kopiałe strzechy trzcinowych chat ajnoskich. Było ich niedużo, skupiały się małymi gromadkami oddzielnie, bliżej morza, bliżej rybackich ułowisk. Dębniak, klony i wiązy... Kędzierzawa zieleń dzikiego bzu, czeremchy, akacji, gaje olbrzymich pokrzyw, zagony wyrosłej kukurydzy i prosa otulały tak blisko domostwa, że wydawało się jakgdyby gniazda tych leśnych do niedawna ludów z wielkim jedynie trudem opuszczały rodzinne gęstwiny. Przeciwnie domki japońskie, małe, schludne, miały w pobliżu jedynie grządki i warzywa oraz kwietniki i całe pławiły się w słońcu. Minęliśmy stacje Horobec, Noribetsu i inne. Ilość chat ajnoskich zwiększała się. Wysiedliśmy na piątej stacji Siraoj. Tor kolejowy przecina wieś na dwie części. Północną zajmują Japończycy. Tam znać kulturę, to prawie miasteczko. Szeroka ulica zabudowana dość ściśle pięknymi i

schludnymi domkami, sklepy, poczta, szkoła, zarząd policyjny, stacja meteorologiczna, powiatowy urząd agronomiczny... Na ulicy pracowity ruch, biegają klekocąc sandałami gromady barwnie ubranych dzieci. Skoro wyszliśmy z wagonów, a pociąg ruszył dalej, natychmiast obstał nas tłum ciekawych, przeważnie wyrostków; od nich dowiedzieliśmy się, że istnieje we wsi japoński hotelik i skierowaliśmy się do niego. Spańram Nomura wbrew naszemu oczekiwaniu nie wyszedł na nasze spotkanie, choć pisaliśmy do niego. Hotelik okazał się dość czystym, ale hotelarz, dowiedziawszy się od nas poco przyjeżdżamy, poczuł się panem położenia i zażądał za maluchny pokoik tyle od osoby, co w pierwszorzędnym wielkomijskim hotelach. Zostawiliśmy rzeczy i udaliśmy się do ajnoskiej części wioski w poszukiwaniu innego mieszkania. Nastawałem, że musimy mieszkać z Ajnami, razem jeść, pić, spać, możliwie ubierać się po ajnosku, gdyż inaczej nie zbliżymy się do nich i nie poznamy ich życia. Bronisław był tegoż zdania, jeden Taronci krzywił się trochę na te zamiary ajnoizacji... Nie ukrywał, że wolałby europeizację, względnie japonizację....

— Nic ciekawego, a brudno!... — dowodził nam kwaśno. — Ajnosi będą i tak przychodzili, jeżeli dawać im wódki!...

Wieś ajnoska składała się z zabudowań rozrzuconych nieregularnie wśród ogrodów z kartoflami, fasolą, kukurydzą, cebulą oraz inną ogrodowizną. Ściany chat i

dachy trzcinowe, okna bez szkieł nawet bez japońskich papierowych „szodzi“. Drzwi zawieszane matami. Jak oni wytrzymują w czasie zimy, kiedy mrozy dochodzą do 12 i 15° Cel. i nieraz panują parodniowe śnieżne zawieje? Ale wtedy było tak pięknie i ukryte w zieleni chaty sprawiały takie malownicze czysto polskie wrażenie! Luźnym szeregiem domy dochodziły do samego morza, które tam tworzyło wielką zatokę obrzeżoną żółtymi piachami. Wymarzone miejsce dla lądowania i niewodźby. Stał tam na wydmykach szereg dużych łodzi rybackich na potoczystych okrągłakach i widać było kilka kołowrotów do wciągania statków na brzeg. Od strony lądu otaczało zatokę półkole lesistych i szmaradowych gór „Czasi-kot“, z poza których w jednym końcu wynurzał się rudawy szczyt wulkanu Uchuj a na drugim, poza ciemnym, urwistym przylądkiem, wrzynającym się daleko w niebieską głąb oceanu, wynurzał się wprost z świetlanej roztoczy, różowy stożek potężnego krateru Szawaradaki. Rzeczka „Pec“ przecinała wioskę i wpadała do morza. Szliśmy wolno szeroką piaszczystą ulicą. Dzieci goluchne, jak Bóg stworzył, przyglądały nam się ze zdziwieniem, porzuciwszy swoje zabawy; w ciemnych głębiach chat coś się ruszało, ale nikt nie ukazywał się i sioło wyglądało jak wymarłe. Nie mieliśmy kogo spytać się, gdzie mieszka Spańram. Spotkana na drodze niewiasta ze wspaniałe wytatuowanymi wąsami na górnej wardze, ujrawszy nas, pierzchnęła pośpiesznie zpowrotem. Już zamierzaliśmy wejść do jednej z izb i zgodnie z ajnoskim zwyczajem stanąwszy przed opuszczoną nad jej drzwiami matą, głóśnem i trzykrotnem

chrząknięciem oznajmić, że chcemy dostać się do środka, gdy doleciał nas opodal łagodny okrzyk:

— Kik — kik!

Taronci żywo się obrócił. Przed sąsiednią chatą stała tylko co spotkana kobieta z inną równie pięknie jak ona utatuowaną. Obie patrzyły na nas zdziwione i głaskały sobie zwisające nad uszami włosy.

— To nasza gospodyni, żona Spańrama! — krzyknął Bronisław i ruszył ku nim żywo, za nim my, a za nami dzieci i psy. We drzwiach pojawiły się postacie przetowłosyich kobiet i brodatych mężczyzn. Jeden z nich poważnie skierował się w naszą stronę. Gdy był o dwa kroki, przykucnął, utkwił oczy w Bronisławie i zrobił „karakty“ t. j. jął trzeć modlitewnie dłonie, gładzić dostojnie brodę. Broniś mu wtórował, poczem rozgadali się; pytali się wzajem z niezmierną powagą o swoje zdrowie, o zdrowie swojej rodziny, o powodzenie w połowie ryb... Ajnos okazał się starszym bratem Spańrama. Równie poważnie i wolno dokonaliśmy wszyscy, nie wyłączając Taronciego, kolejno powitania, mówiliśmy o zdrowiu własnem i rodziny, o połowie ryb... Poczem starszy Spańram wskazał nam na chatę, przy której czekały pokornie kobiety; z poza kimona pani Spańram wychylał się голуśki, najmłodszy jej synek, tłusty jak kluska. Sama Spańramowa nie ruszyła się ani krok naprzód i dopiero, kiedy zbliżyliśmy się i moje oczy spotkały się z jej czarnymi, sarniemi, trochę wystraszonemi oczyma, prawa jej ręka uniosła się wolno ku górze, pogładziła pukiel włosów zwisający nad uchem, poczem przewinąwszy go

nad tatuowaniem ust pobiegła wzdłuż ramienia i opuszczonej lewej ręki aż do końca palców... Wiedziałem, że to jest kobiece „karakty“ — powitanie i odpowiedziałem trzykrotnym tarcieniem dłoni i gładzeniem brody. Pani Spańram знаła się na etykiecie, wiedziała, że ja jestem naczelnikiem ekspedycji i zaczęła odemnie... Znów mówiliśmy o stanie naszego zdrowia, naszej rodziny i połowie ryb... Poczem zwróciłem się do drugiej niewiasty, a z Spańramową witał się z kolei Bronisław. Z nim pogawędka trwała dłużej. Pani Nentasik, gdyż takie miała Spańramowa imię, opowiedziała mu, że męża niema, gdyż z sąsiadami wybrał się na morze, chcąc nas ugościć świeżą rybą. Ona wraz ze szwagrem miała nas spotkać na dworcu lecz spóźnili się na pociąg, i już nas nie zastali. Powiedziano im, żeśmy odjechali...

— Zwykle japońskie kłamstwo! Wróciliśmy więc do domu bardzo zasmuceni, a tymczasem spotkała szlachetnych „niszpa“ na drodze jej siostra Isiuci i zawiadomiła, że jesteście...

— Jesteśmy i mamy zamiar długo pozostać!... śmiał się Bronisław, tłumacząc mi jednocześnie rozmowę. Poproszono nas do wnętrza chaty. Minęliśmy obszerną sień, pełną skrzyń, beczek, naczyń, narzędzi i weszliśmy do obszernej czystej chaty, oświetlonej dużym oknem naprzeciwko wejścia oraz kilkoma mniejszymi w bocznych ścianach. Pod ścianami ciągnęły się niskie prycze przeznaczone do spania. Pośrodku izby na niskim kwadratowym palenisku tłało ognisko, którego dym unosił się ku górze i kopiąc po drodze haki, drążki i zawieszzone

na nich ryby, ginął w przepaścistych wysokościach ciemnego strychu. Pułapu nie było wcale, podłoga z ubitej gliny, w paru miejscach u ogniska pokryta była pięknymi matami z sitowia. Tam nam kazano usiąść pod wielkiem wschodniem oknem, gdyż były to miejsca najbardziej w całym domu zaszczytne. Usiedliśmy na ziemi, gdyż żadnych krzesel, ani wogóle mebli, prócz skrzyń w chacie nie było. Podano herbatę i ciastka japońskie, następnie doskonałą wędzoną rybę. Honory domu czynił brat Spańrama, pomagały mu godnie Nentasik i Isiuci. Chmara dzieciaków smyrgała po kątach, szepcząc tam cicho, mignęła nawet w zmroku sionki postać dziewczęca.

— Pewnie córka Spańrama, — Siotunaś. Jeden z powodów jego szybkiego z Osaka powrotu... Doszły go pogłoski, że dziewczucha ucieka z domu. Więc nawet nie dochodził swej krzywdy u zarządu wystawy, rzeczy za byle co sprzedał, tak mu żona głowę suszyła i nagliła do powrotu... Nawet ta jej choroba „beriberi“ coś zbyt szybko przeszła... Nie uważacie?!.. Co!... Ale nie patrzcie na dziewczynę. Boże uchowaj!... Jakby jej nie było. Inaczej zniknie i nie ukaże się więcej. — Ja je znam! — ostrzegał mię Bronisław.

Po herbacie brat gospodarza pokazywał nam długie oszczepy, używane do połowu wielkich ryb, sieci, wędk i inne osobliwości rybackie. Potem oprowadzał nas po wiosce, objaśniał dlaczego śpizarnie umieszczają Ajnowie na wysokich słupach.

— Od mrówek, szcurów, myszy i lisów... Dawniej domy budowano też na słupach!...

Zawiódł nas nad brzeg morza, gdzie na piaszczystej wydmie, niedaleko od postoju łodzi, wznosiła się wspaniała „nusa kamui“, stawiana morskim bogom przed wyruszeniem na połów. Był to cały szereg „inau“ — wierzbowych, dereniowych i olszowych kijków wysokości człowieka, zastruganych kunsztownie w kiście wiórkowatych loczków, tworzących u ich szczytów coś w rodzaju odwróconych kropielnic. W dziobach stojących na brzegu łodzi tkwiły wełniste podobne „inau“, tylko mniejsze — „kamui—ru“ (bóstwo drogi).

Naszej przechadzce towarzyszyła z oddali gromadka dzieci, a półdzikie ostrouche i ostromorde, do szakali podobne psy, kryjąc się w zaroślach konopi, pokrzyw i olbrzymiej hreczki sachalińskiej (*poligonum sachalinensis*), ujadły na nas nieznośnie. Dorośli mieszkańcy chat śledzili za nami dyskretnie ukryci za węglami budowli, lub w głębi ciemnych sionek. W powrotnej drodze obejrzelśmy małego lisa (*szumari*), chowanego w dużej, drewnianej klatce na wysokich nóżkach.

— Kiedy spadnie śnieg, zostanie zabity na ofiarę! — oznajmił nam Ajnos.

Zbliżał się wieczór. Gospodyni stawała się coraz niespokojniejsza, co chwila wychodziła za próg i patrzyła na morze. Spańram nie przybywał. Dłużej czekać było niepodobna. Pożegnaliśmy się i wrócili do hotelu.

Nazajutrz, ledwie otworzyliśmy oczy, gdy rozległo się za drzwiami ostrzegawcze chrząkanie i wpelźł do naszego pokoju po japońsku, na kolanach Spańram Nomura. Długo tarliśmy po kolei dłonie i gładzili brody, pytali o zdrowie, o

rodzinę, o połów ryb, aż Nomura znowu chrząknął potrzykroć i przemówił uroczyście:

— Cieszę się, że was widzę, wspaniali „niszpa“, że zgodziliście się odwiedzić ten kraj dziki, mój dom ubogi!... Późno wróciłem wczoraj z połowu, gdyż na morzu bywa rozmaicie... Upolowałem szczęśliwie za waszem wstawieniem w niebiosach, wielką rybę i wczoraj jeszcze przychodziłem zaprosić was na wieczerzę, lecz już spaliście, zmęczeni daleką drogą w turkotliwym pociągu; więc nie budziłem was, szlachetni „niszpa“, lecz teraz wszyscy moi domownicy, a nawet cała wieś czekają na was dostojni goście, by spożyć z wami dar morza i zabrać należną każdemu część!.. Jestem teraz biedny, lecz mój dziad i ojciec byli „niszpa“, sam byłem tutaj wójtem, dlatego wszyscy sąsiedzi „bardzo się cieszą, że będą mogli poznać cudzoziemskich „niszpa“, którzy okazali pomoc biednym, oszukany „ajnu!...“

Zakończył ponownem zaproszeniem nas do siebie na ucztę. Nastawałem, aby sprawa mieszkania została natychmiast wyjaśniona, ale Bronisław twierdził, że tego niemożna „prosto z mostu“, że etykieta ajnoska wymaga długiego przygotowania i omówienia tak ważnej sprawy. Zaczął więc Bronisław przedewszystkiem od wychwalania wspaniałości i rozmiarów chaty Spańrama, co mu niezmiernie pochlebiło. Następnie poskarżył się na chciwość i nieużytość naszego hotelarza, na wieczny gwar i ruch zmieniających się gości, wkońcu wstawił zręcznie, że o wiele przyjemniej byłoby nam, gdyby nasze pieniądze za mieszkanie i życie dostawały się do rąk nie przebiegłych

Japończyków, lecz naszych przyjaciół jak on, Spańram naprzykład, lub ktoś przez niego wskazany....

Spańram był widocznie zaskoczony naszą propozycją, zagadał znów o swem ubóstwie, dzikości, o braku wygod, o złem nieodpowiedniem pożywieniu dla takich jak my panów, o znacznej odległości od sklepów, poczty, urzędów... Opór jego oraz całe zachowanie wydały mi się jakieś podejrzane. Nalegaliśmy dalej na niego. Wtedy przyznał nam się, że się boi Japończyków, którzy mogą go prześladować za psucie im interesu... Rozśmiałem się, powiedziałem, że dla Japończyków to nie ma znaczenia, że z hotelu w każdym razie wyprowadzimy się, jeżeli nie do niego, to do kogo innego, jeżeli nie tutaj, to w sąsiedniej wsi Sataj, Atma albo przeniesiemy się nawet do Piratori.

— Przyjechaliśmy do Ajnów, nie do Japończyków! — zakończyłem... Wymienienie nazwisk oraz ostatni argument zrobiły na rybaku wrażenie. Podrapał się w głowę, zupełnie jak nasz chłop, i powiedział, że on owszem radby, lecz... w tak poważnej sprawie musi się naradzić z żoną.

Na odchodnem szeptał coś z Tarońcim, poczem wypęzł znowu grzecznie tyłem po japońsku za drzwi. — Rychło jednak wrócił i zapytał, nie przekraczając progu: ile płacimy hotelarzowi. Gdyśmy wymienili cyfrę, mruknął: haye ku ramu!... (o la Boga) i długo się namyślał, drzwi powoli przed sobą zasunął, słyszeliśmy jednak, że nie odchodził. Rozbawiony Bronisław twierdził, że to zupełnie „po ajnosku“, że wszystko skończy się pomyślnie, lecz ja czułem, że się pod tem kryje coś niedobrego. Znowu na korytarzu rozległo się ostrzegawcze chrząkanie, drzwi

odsunęły się i w szparze ukazała się kudłata głowa i błyszczące oczki Spańrama.

— Dobrze, zgadzam się! Zapłacicie mi tyle, co hotelarzowi, gdyż nic nie mogę wam odmówić przez wdzięczność, ale musicie iść do „Kaku-song-kocio“ (przodownik, naczelnik miejscowej policji), wytłumaczyć mu, dlaczego chcecie mieszkać u Ajnów i że on, Spańram, musi was przyjąć... przez wdzięczność!!

— Doskonale, doskonale!... Zaraz idziemy do Kaku-song-kocio!

Zgodziłem się, zrozumiawszy nareszcie, o co mu chodzi. Ale zanim zdążyliśmy się przebrać z wygodnych japońskich kimono w nasze europejskie ubrania, sam „Kaku-song-kocio“ we własnej osobie pojawił się na progu. Stał po europejsku i był w pełnej „gali“, w czarnym policyjnym mundurze ze świecącymi guzami, w spodniach z lampasem, w kamaszach i przy szabli. Zasalutował, szablę odpiął, ukląkł na macie i broń położył koło siebie. Uścisnęliśmy sobie ręce i przywitaliśmy się po japońsku „konnisziwa“. Podał nam swój bilet wizytowy, na którym obok japońskich hieroglifów był wypisany po angielsku długi i wspaniały tytuł. Zkolei myśmy wymienili z nim nasze bilety wizytowe, jak tego wymaga obyczaj Dalekiego Wschodu. Uważam, iż jest on daleko grzeczniejszy od niewyraźnego mrużenia swego nazwiska pod nosem, a następnie zapisywania pośpiesznie adresu gościa na skrawku papieru, lub kłopotliwych wywiadów o niego ubocznymi drogami, jak to praktykuje się u nas.

Spańram znikł. Zaczęła się z Japończykiem zwykła

towarzyska gawęda o drodze, o pogodzie, o naszych zamiarach, dla których tu przybyliśmy.

Pojawiła się niezbędna herbata, słodycze i ciastka. Kaku-song-kocio długo rozwodził się o szczytnych zadaniach nauki, o tem, że rząd japoński bardzo naukę szanuje i popiera uczonych.

— Ale każdy profesor u nas ma swój zakres, poza który nie może wychodzić... Wy naprzykład czego szukacie?

— Chcemy przedewszystkiem poznać bogów ajnoskich... — pospieszyłem go uspokoić.

— Aha, te strugane drewnienka „inau“?... — rozśmiał się wzgardliwie. — To poznawać możecie, ale mapy wam rysować nie wolno!...

— Mamy japońską! — odrzekłem. — Zresztą pan pewnie dostał od swego Generał-Gubernatora z Sapporo odpowiednie, co do nas rozporządzenia?...

— Żadnego rozporządzenia nie otrzymałem... Wszystko co mówię, doprawdy z własnego serca i z troski o wasze dobro!... Radzę wam mieć się na ostrożności, bo Ajnowie są bardzo chciwi i przebiegli. Dlatego trzeba, żebyście wszystkie rachunki za nabywane przez was dla muzeum przedmioty, załatwiali przezemnie. Ja będę im wypłacał. Tego nawet żądam, gdyż tego wymaga odemnie moja władza! Muszę się wami opiekować!...

Długo mówił, ale Tarońci krótko nam tłumaczył: podejrzewam, że najciekawszą połowę zataił. Odchodząc, policjant wspaniałomyślnie się zgodził, żebyśmy zamieszkali u Spańrama.

— To pan już wie o tem?

— Wiem wszystko!.... — zakończył rozmowę, kłaniając się i cofając tyłem ku drzwiom.

Nie wiedział jednak nic o Polsce i pomimo naszych protestów i wyjaśnień stale nazywał nas „rosjanami“ (oros).

Tegoż dnia wieczorem przenieśliśmy się do Spańrama. Przyjęto nas tam ze szczerą radością. Umieszczono nas w honorowym kącie na prawo od „świętego wschodniego okna“. Rozesłano nam tam na pryczach cienkie maty tatarakowe i postawiono drewniane wezgłowia. Kołdry i maluchne poduszeczki mieliśmy własne. Gospodarz odprawił natychmiast „małe modły“, to jest wypił dostarczoną przez nas butelkę wódki, przelawszy ją przedtem do czerwonej lakowej czary ze złotym niedźwiedziem wymalowanym na dnie. Przed piciem kapnął kilka kropel na ognisko i wymruczał krótką modlitwę do „bogini ognia“.

— Ona jest kobietą, — tłumaczył nam — i gniewa się o byle głupstwo, dlatego jeszcze dziś ją trzeba udobruchać, choć prawdziwe „nusa“ z powodu waszego przybycia zrobimy dopiero jutro!...

— Takim, jak wy, przyjaciołom chcemy służyć wszystkim, co mamy!... Co stałoby się z nami, gdybyście nie poratowali nas w Hakodate?... Japończycy wsadziliby nas do więzienia, jako włóczęgów i odesłali na miejsce w łańcuchach ku wielkiej naszej hańbie i jeszcze ściągęliby z nas karę... A przecież mój dziad i ojciec byli „nizpa“ i ja sam byłem tu wójtem z wyboru lat temu kilka!... — powtarzał roztkliwiony.

Czy kobiety wiedziały co o tej naszej rozmowie, nie

wiem, lecz stosunek ich do nas stał się odrazu niezmiernie serdeczny.

Nazajutrz rano przedewszystkiem urządono nam kąpiel. Bardzo nam się przydała, gdyż w nocy pchły i pluskwy nas skąsały niemiłosiernie. Siotunaś wraz z ciotką i Isiuci wytoczyły z sieni wielką półbeczkę z żelaznem dnem, ustawiły ją na palenisku z cegieł, napełniły wodą i podpaliły. Zaproszono nas uroczyście, abyśmy wleźli do tego podgrzewanego zdołu kotła; zaczęto odemnie. Choć w Japonji wszyscy przyzwyczajają się do nagości wynikającej z potrzeby i nie robią przy rozbieraniu ceremonji, rozwiesiłem jednak z braku parawanu mój czarny namiot służący mi do wywoływania klisz fotograficznych, aby cokolwiek ukryć się przed oczami ciekawych. Niedługo jednak pozostawałem sam, gdyż to ciotka, to Siotunaś, co chwila wpadały, aby poprawić palący się pod kotłem ogień. Od tego poprawiania woda w kotle stała się wkrótce tak gorąca, że wyskoczyłem z wanny ku wielkiemu zdziwieniu i wesołości, oczekujących na koniec kąpeli Ajnów. Przyszła kolej na Bronisława, lecz ten umiał po ajnosku, kazał więc Siotunas ogień pod kotłem w odpowiedniej chwili zgasić.

Wzięliśmy się ostro do roboty, do uporządkowania naszych notatek, do skontrolowania przyborów fotograficznych i instrumentów antropometrycznych.

W deszcz i wieczorami — folklor, i zapisywanie podań, wierzeń i bajek, we dnie zwiedzanie chat, uroczysk, pól, świętych gajów, wyszukiwanie i nabywanie muzealnych okazów. Prócz tego ja, przy pomocy gromady dzieciaków

zbierałem okazy motyli i żuków — za każde 10 sztuk dawałem jednego sena (dwa grosze)! Propozycja wywołała poruszenie w całym młodym pokoleniu wioski. Spoczątku nie dowierzano, ale kiedy pierwszych paru śmiałków dostało kilka groszy, zaczęły się zbiegać całe gromady chłopaków a nawet dziewcząt, z prośbą o „cudowne“ flaszeczki. Przypuszczano, że ja mam coś w tem, żeby owady koniecznie kładzono w te dziwne słoiczki, w których korkach był „niby cukier“. — Ponieważ to był cjanek potasu, bałem się je dawać malcom, by czasem nie skusili się i nie skosztowali zamorskiego cukru. Zastąpiłem cjanek potasu benzyną, ale skutek był gorszy, gdyż tęgoprokrowcowe, o które mi głównie chodziło, wilgły i traciły formę. W sferze ojców i matek znowu ogromny ruch zrobiły nasze zakupy; za stare rupiecie dostawali niektórzy szczęśliwcy bajeczne pieniądze. Z tego powodu wynikały nawet nieporozumienia, gdyż współzawodnicy przynosili nam zupełnie nowe, naprędce zrobione przedmioty i żądali za nie podwójną cenę jako za rzeczy nieużywane. Najtrudniej było dowiedzieć się coś lub dostać przedmioty kultu. Owe „Inau“, które myśmy tak pożądliwie obserwowali, były dla nas narazie niedostępne. Nie pozwalano nam nawet ich fotografować! Nieufność względem nas nie zmniejszała się, przeciwnie zdawało się, że wzrastała. Obrażona na Bronisia Siotunas sprowadziła sobie jakiegoś młodego Ajna, który nie wszedł wcale do chaty, nie przywitał się z nikim, nam nie przedstawił, ale, siedząc w cieniu w sionce na łóżku dziewczyny obserwował nas nieustannie błyszczącymi oczyma.

— Nie zwracajcie na niego uwagi i Boże broń nie pytajcie o niego Spańrama, gdyż to zalotnik dziewczyny. — Rodzice powinni udawać, że go wcale nie widzą...

Chłopaka nie zawołano nawet na wieczerzę, jadł to co mu dziewczyna ukradkiem zaniosała, wieczorem znikł, a z nim Siotunas, która wróciła dopiero nad ranem. Ojciec nie powiedział jej ani słowa a Spańramowa na moje nieostrożne pytanie, co to za chłopak, odpowiedziała:

— Jaki chłopak?... Żadnego chłopaka nie było, ja nie widziałam!

Siotunas uciekała z chaty, gdyśmy tam przebywali i zawzięcie pełła lub kopała w ogrodzie kartofle, a gospodyni wciąż była zła i opryskliwa.

— Co za mucha ją ukąsiła? — pytałem Tarońciego; ten milczał dyplomatycznie i kręcił srebrny łańcuszek zegarka, który wciąż nosił zatknięty za swój pas japoński, wreszcie powiedział:

— Ona się martwi, że zamało wzięła od was pieniędzy za sprzedane rzeczy... Ona się martwi!

Bardzo nam chodziło o dobre stosunki z krajowcami, lecz tłumaczenie Tarońciego wydało się nam nieprawdopodobnie śmieszne.

— Rzecz wątpliwa! — dowodził Bronisław. — gdyż gościnność tego rodzaju nie jest znów tak bardzo wśród Ajnów powszechna. Na Sachalinie niema jej wcale. Jest w tem coś więcej! Najlepiej pójdę dowiem się od samej Siotunasi.

Wziął małe nożyczki na podarunek dla dziewczyny i zniknął. Wkrótce usłyszałem w ogrodzie wesoły śmiech i

rozmowę, której z równą ciekawością przysłuchiwał się Tarońci i gospodyni.

— Rozmnie się, że nie to... — tłumaczył mi, śmiejąc się Bronisław. — Z Siotunas już zgoda, nożyczki przyjęła z wielką wdzięcznością... Rzecz jednak przedstawia się trochę poważniej... Ustał połów. Już od paru dni nikt we wsi nie schwytał ani jednej sztuki!... Chcieli wyprawić ucztę powitalną dla nas i nie mają z czego... Zniknięcie ryb może pochodzić... z niezadowolenia bogów z naszego tu pobytu!... Japończycy w tym duchu szerzą pogłoski!... Dziś wieczorem, jeżeli znów wrócą z niczem, mają być odprawione wielkie modły na brzegu morza i postawiona nowa „nusa“... „Ekaś—tepa“. (Pas wstydlivości, przydomek starszego krewnego Spańrama) już posłał gońca do sąsiedniej wsi, Kju do starego „Samukus“ z prośbą o poradę, kiedy mają być zarządzane modły i jakie postanowione „inau“? Rady „Samukusia“ zawsze są skuteczne. Uważany jest za „tamatkoto“ — mędrca. Odpowiedź jeszcze nie przyszła?... Wszyscy są poruszeni!

Myśmy również byli poruszeni i zainteresowani całą tą sprawą, gdyż od jej rozwiązania zależały do pewnego stopnia losy naszej ekspedycji. Nawet Tarońci zdradzał niepokój i co chwila przynosił nam zasłyszane na stronie nowiny:

— Kłóćą się kiedy ma być „nusa“, bo nie mają pieniędzy na „sake“, a bez „sake“ nie można stawiać „nusy“!

— Jedni żądają, żeby Nomura podał nam zaraz dziś jeszcze „tolkooca“ (pożegnalną potrawkę), ale Nentasik nie zgadza się, ona mówi że mieli od was zbyt wiele w biedzie

pomocy!...

— Samukus długo nie odpowiada!... Znaczy, że będzie źle!... Wszyscy bardzo gadają!...

Kiedy Nomura wrócił z połowu zafrasowany z wieścią o nowem niepowodzeniu, poprosiłem Bronisia, aby oznajmił mu, że my również jako przyjaciele pragniemy wziąć udział w uroczystości, lecz ponieważ nie umiemy ani łowić ryb, ani wyrzynać „inau“, chcielibyśmy więc dostarczyć potrzebną dla modłów ilość „sake“. Nomura odrazu poweselał, etykieta kazała mu jednak długo się namyślać, zanim nam obiecał, że pogada o tem ze starcami. Znikł, wrócił późno w nocy mocno podchmielony. Nentasik czekała nań gniewna i córce zabroniła iść spaść. Rozegrała się scena małżeńska. Długo i krasomówczo przemawiał do niej Nomura. Nie odpowiadała, leżąc na macie twarzą do ziemi; nie pomogły i prośby, nie dała mu wieczerzy i zamiast do łóżnicy poszła spać z córką do sieni. Opuszczony Nomura skarżył nam się żałośnie, wytknąwszy głowę z poza sypialnej zasłony. Ale nazajutrz już była zgoda. Nomura uroczyście nam potwierdził, że nasza „sake“ przyjęta i że proszeni jesteśmy na uroczystość. Kiedy się ona odbędzie zależy to od „Samukusia“. Nikt jednak ze wsi na łowy nie wypłynął, gdyż nie godzi się kusić bogów przed ofiarą, w dodatku może przyjść nakaz złożenia jej zaraz, a tego nie wolno, jeżeli łodzie są na morzu.

Zapanował więc nastrój świąteczny. „Ludzie zręczni i wiedzący“ zajęli się prażeniem kawałków drzewa przeznaczonych na „inau“. Dowiedzieliśmy się, od

młodsze rodzeństwa Siotunas, a było tego coś pięcioro, że naszemu sąsiadowi polecono zrobić „inau“ z drzewa „utukani“. Postanowiliśmy pójść przyjrzeć się robocie, przedtem gopodarz poprosił nas, żebyśmy dziś jeszcze odwiedzili „Kaku-song-kocio“.

— Nie byliście u niego, a on u was był... Dzisiaj tu się dużo zbierze ludzi!... Lepiej, żeby się on na nikogo nie gniewał!... — dowodził nam znacząco.

Włożyliśmy więc nasze europejskie surduty i ruszyliśmy do wioski japońskiej. Po drodze wstąpiliśmy na chwilkę do rzeźbiarza „inau“. Siedział na pryczy pod oknem i nożem strugał cieniuchno wióreczki z kawałka rozmiękczonej na ogniu wikliny. Loczki stróżek tworzyły na końcu drewnianka rodzaj kołtunka.

— Stanowczo te struganki bardzo są podobne do samych Ajnów!... — zauważyłem do Bronisława.

— Ależ tak!... Niektóre z nich na Sachalinie mają brody oraz wycięte usta, oczy i nosy... —

— I są pośrednikami między żyjącymi na ziemi Ajnami a bogami.

— Tak oni twierdzą!...

— Czy niema u Ajnów podań o ofiarach z ludzi?...

— Nie wiem. Nie słyszałem i nie pytałem... Są zbyt łagodni!

— Będziemy jednak robili poszukiwania w tym kierunku, gdyż może nastąpiło tu to, co w Mongolji, gdzie żywe konie składane niegdyś na ofiarę, zostały zastąpione przez wizerunek ich rysowany na papierze...

Tak rozmawiając znaleźliśmy się przed mieszkaniem

„Kaku-song-kocio“. Zajmował mały, czyściuchny pokoiczek przy biurze. Zaprosił nas do biura, usadowił na matach w pobliżu „hibaczi“, starał się być uprzejmy, rozmowny. Z poza jego uśmiechu przeświecał jednak niepokój i rozdrażnienie. Żona jego, dość miła i młoda, podała nam wkrótce po maluchnej filiżance gorzkiej herbaty i podsunęła ciastka na lakowej tacce z nóżkami. „Kaku“ ni z tego ni z owego przybrał nagle ton wyniosły i zażądał od nas „papierów“. Gdy powiedziałem mu, że żadnych papierów nie mamy oprócz zwykłego paszportu dyplomatycznego i że ten wszędzie wystarczał, gdy powtórzyłem mu, że powinien był otrzymać z Sapporo tyczące się nas rozporządzenie od Generał-gubernatora — odrzekł opryskliwie, że żadnych papierów nie dostał i że wobec tego będziemy musieli udać się zaraz na odwach policyjny; znaczyło to poprostu, że jesteśmy aresztowani.

Odpowiedziałem, że ani myślę go słuchać, że jesteśmy pod opieką japońskich Towarzystw Naukowych i że na odwach nie udamy się bez wyraźnego rozkazu z Tokio.

Wtedy zmiękł i zaczął tłumaczyć się, że dziś przez wieś przemaszerowyywa wojsko idące z Hakodate do Sapporo, że cudzoziemcy nie mogą go oglądać...

Ponieważ nie chcemy iść na odwach radzi nam, żebyśmy dziś nie wychodzili wcale z domu na ulicę, inaczej będzie źle... Upewniliśmy go, że wojsko nas nic nie obchodzi i prosiliśmy, żeby wydał nam pozwolenie na pobyt w Siraoj w celach naukowych do czasu, aż przyjdą papiery od Generał-gubernatora. Złagodniał i napisał nam na kawałku bibułki, że tacy a tacy Polacy (porando) zatrzymali się

w wiosce Siraoj i okolicach dla zapoznania się z życiem Ajnów. Skończyła się wreszcie niemiła wizyta, osłodzona na pożegnanie fałszywymi uśmiechami i głębokimi ukłonami.

— „Nosa nie wysuwajcie z chaty, szczególnie w nocy, ostrzegam was dla waszego dobra... — nastawał odprowadzając nas do progu.

Na ulicy spotkaliśmy dwóch Japończyków ubranych po europejsku; obrzucili nas bystrem i groźnym spojrzeniem... We wsi dawał się odczuwać szczególny ruch. Spieszyliśmy się z powrotem, nagleni przez średniego synka Spańrama, którego ojciec przysłał po nas. Chłopak nie chciał powiedzieć, o co chodzi. — Powszechnie podniecenie udzieliło się i nam, szczególnie niepokoił się Taronci. Ledwie weszliśmy do chaty Spańrama, zjawił się jegomość dość przyjemnej powierzchowności, bardzo ogorzały, w ciemnym prostym europejskim ubraniu z czerwoną opaską na ręce. Przedstawił się jako korespondent Sapporskiej gazety, oznajmił, że słyszał o nas od mistera Batchelora i przyszedł nas odwiedzić. Mówił dobrze po angielsku. Pytał o postępy naszej pracy oraz jak długo zamierzamy przebyć w Siraoj i dokąd stąd się udamy? Odchodząc radził jak „kaku“, abyśmy nie wychodzili na ulicę, gdyż obecność wojska oraz ogólne rozdrażnienie ludności pogłoskami o wojnie może wywołać starcie.

— Złe czasy wybraliście, panowie, dla swoich badań!... — zauważył ze zwykłym uśmiechem.

— Kto mógł przewidzieć?..

— Tak, tak, a lepiej... nie wychodźcie ani dziś ani jutro

rano!... W wojsku grasują choroby, czterech żołnierzy umarło! — dodał niespodzianie.

Podczas rozmowy drugi Japończyk, sądząc z powierzchowności, wojskowy, siedział na progu i pilnie przysłuchiwał się, ale wejść nie chciał i nawet nie odpowiadał. Wizyta przygnębiające na wszystkich sprawiła wrażenie. Spańram długo po odejściu Japończyków siedział zwarzony, dzieci i kobiety pochowały się po kątach. Wtem weszło dwóch poważnych Ajnów, których nie znaleźmy jeszcze; posadzono ich na miejscach zaszczytnych, a po uroczystej ceremonji powitania, dowiedzieliśmy się, że to są wysłańcy Samukusia. Opóźnienie odpowiedzi tłumaczyło się przemarszem wojska, nikogo ono nie puszczało przed sobą. Samukus przybędzie na uroczystość, która odbędzie się jutro, cudzoziemcy mogą być na niej.

Ta decyzja przywróciła wszystkim wesołość. Spańram pożyczył odemnie jena i posłał zaraz syna po „sake“, aby uczcić bogów, gości i oblać dobrą nowinę. Dobyto więc znowu z wielkiej, stojącej pod północną ścianą skrzyni — skarbnicy, wspaniałą starożytną czarę z czarnej laki, umieszczono ją we wschodnim końcu ogniska, napełniono wódką, przed nią postawiono pięć miseczek z czarnej laki z czerwono złotem wnętrzem. Wśród nich nie brakło także i słynnej czarki ze złotym na dnie niedźwiedziem, z której pijał sam gospodarz. Na każdej czarce położono „ochraniacz wąsów“ (iku-pasin), drewniany mieczyk, pięknie rzeźbiony i malowany. Gospodarz wdział wspaniały wzorzysty kaftan z brzostowego włókna i przesiadł się

bliżej wódki; nalał jedną z czarek „bogom“ i podał ją swojemu starszemu krewnemu „Ekastepa“, który był zarazem wójtem wioski. Ten przyjął czarę, gładząc uroczyście brodę, odwrócił się twarzą do kąta koło wschodniego okna, gdzie stały liczne domowe „inau“. Długo modlił się wznosząc czarę do góry i opuszczając ją na dół, gładził brodę i mruzczał modlitwy... Nomura nalał tymczasem drugą czarę i podał ją swemu starszemu bratu, który również począł gładzić brodę, mruzczyć modlitwy, maczał koniec „ochraniacza wąsów“ w „sake“ i kapał ją na ogień, na ramę ogniska, na wetknięte w popiół pomniejsze „inau“, poczem ukląkł, w ekstazie przymknąwszy oczy. Gospodarz nalał trzecią czarę dla trzeciego gościa i czwartą sobie... Teraz już wszyscy mruzczyli modlitwy, wznosili oczy do góry, kropili wódką ognisko, gładzili długie wspaniałe brody... „Ekastepa“ wciąż klęczał z oczami wleplonemi w „inau“ a ręką gładził swą brodę... W uroczytej ciszy chaty oświetlonej blaskiem ognia rozlegały się jeno urywane święte wyrazy... Ciepła gwiazdzista noc zaglądała w szeroko otwarte wschodnie okno i daleki szum morskiego przyływu mieszał się z świętobliwym szeptem i skruszonymi westchnieniami... Siedząc na uboczu, uzbrojeni w ołówki i notesy, nie traciliśmy z oczu najmniejszego szczegółu interesującej sceny... Wtem zastukały niespodzianie pod ścianą kroki i w świętym oknie pojawiły się sylwetki trzech japońskich żołnierzy... Zgodnym ruchem zdjęli z ramion karabiny i w pozycji „gotuj broń“ wstawili ich rury do chaty... Umilkły święte mamrotania, ustały ruchy, Ajnowie zamarli jak urzeczeni.

Wyznaję, że i mnie przez głowę przebiegły nieprzyjemne myśli, wspomniałem groźby „Kaku-song-kocia“ i rady korespondenta. Żołnierze skierowali swoje, wąskie błyszczące oczki przede wszystkim na nas... Przykre uczucie wzrosło jeszcze, gdy Japończycy sięgnęli zgodnym ruchem do ładownic... Udawaliśmy dalej, że zapisujemy w notesach, podziwiałem również męstwo Ajnów, którzy najmniejszym gestem nie zdradzili trwogi. Trwało to dobrą chwilę, gdy wtem w oknie rozległ się wesoły śmiech i wyjęte z ładownic papierosy powędrowały do szeroko rozśmianych ust żołnierzy...

— Co, mieliście stracha!... — rzucił jeden z nich po japońsku. — Przyszliśmy zobaczyć co porabiacie!...

— Widzicie, że modlimy się! — odrzekł Ekastepa.

— Tak, tak!... — Pijecie wódkę, udając, że to robicie dla bogów!...

— A może wy się napijecie!?!...

— Nie, nam niewolno!... My na służbie...

Wypalili papierosy i znikli jak przyszli. I znów jasne gwiazdy patrzyły na nas z wysokiego nieba przez szeroko otwarte „święte okno“ i ciepły powiew wraz z potężniejącym szumem płynął od morza. Do dziś dnia pamiętam i często wspominam dziwne wrażenie, jakie sprawiło na mnie to nagłe, symboliczne pojawienie się w „świętem oknie“ japońskich żołnierzy!...

Niemniejsze wrażenie uczynili oni na Ajnach.

Uroczyści brodacze długo siedzieli bez ruchu w swych biało-czarnych szatach z ofiarnymi czarami „sake“ przed sobą. Dopiero kiedy synek Spańrama wysunął głowę z pod

maty, zakrywającej wejście i szepnął „poszli“, czcigodni bez słowa wyciągnęli zgodnie ręce do napoju i podtrzymując starannie rzeźbionymi „ochraniaczami“ swoje obwisłe, focze wąsiska, wychylili czary do dna.

Spańram napełnił je na nowo.

— Patrzcie ich: chcieli nas nastraszyć! — ozwał się pierwszy Ekas-tepa.

— Nie na takich trafili!... — rozśmiał się jeden z młodszych gości.

— Zawsze, aby tylko nam Ajnom dokuczyć, słyszana rzecz, żeby tacy sobie obcy przechodnie zaglądali do chaty ludzkiej i przez wschodnie okno, przez które nawet krewnym zaglądać nie wolno!... — oburzał się brat Spańrama.

— Ile to teraz „sake“ trzeba będzie wypić, żeby grzech zmazać!... — wzdychał gospodarz.

Z napełnianiem i wychylaniem czar szło coraz gładziej. Coraz krótsze były modły, coraz szybsze ruchy. Gospodarz otworzył swą skrzynię — skarbnicę, wyjął stamtąd koronę plecioną sztucznie z wiórków, czarną od starości i dymu. Włożył ją sobie uroczyście na głowę, inni powyciągali z zanadru swoje korony lub dostali zapasowe od Spańrama. Na czolnikach koron błyszcząły amulety: pazury niedźwiedzie, orle dzioby, rzeźbione z drzewa, kości lub rogu, głowy lisie, wilcze, wyobrażenia ryb i żółwi. Rozmowy stały się głośniejsze. Spańram chrapliwym głosem zanucił śpiew. Bronisław zapisywał wszystko pośpiesznie po ajnosku. Taronci tłumaczył mi po rosyjsku. Opowiadał Nomura w tej pieśni niezmiernie patetycznie

swój nieszczęsny powrót z Osaka i spotkanie z nami. Wszyscy obrócili się ku nam z uznaniem, napełniono i nam czary obrzydliwą „sake“ i musieliśmy wypić. Jednej rzeczy nie umieliśmy zrobić: podnosić dostojnie naszych wąsów rzeźbionymi „ochraniaczami“, co nam zresztą łaskawie wybaczone.

— Daj mi jeszcze jednego jena. Sam widzisz co narobili ci przekłęci Japończycy... Bogowie bardzo są obrażeni!!...
— zaszeptał Namura, podpełzłszy do mnie z boku.

Za chwilę syn Spańrama pędził do wioski japońskiej z pustą butlą pod pachą. A w chacie tymczasem uczynił się gwar, Ajnowie śpiewali i krzyczeli: jeden przez drugiego wymyślali na Japończyków...

— Dawno to, jak trzymali nas w niewoli?...

— Pozabierali nasze łowiska i każdy „ajnu“ musiał trzy dni w tygodniu pracować na „dajmijosa“ albo okup płacić!...

— Połowę zdobyczy z morza i lasu panom japońskim oddawać!...

— Dawno to, jak nas za byle co bili, krzyżowali między dwoma słupami, albo wieszali za włosy na szubienicy!...

— Albo teraz: zagrabili całą ziemię naszą i wydzielają nam bezwstydnie na wielkie prośby i pisanie po tyciuchnym kawałeczku, że ledwie dom i parę zagonów kartofli się zmieści!

— A jakie za to trzeba płacić podatki! A dzierzawa morskiego brzegu?... Ajo!

— Zadzierają nosa, że są na ciele goli jak skrobane świnie!...

— Hut! Hut!... (pfe!) — krzyknęły kobiety.

— Zazdrozczą nam że Aj-Ojna (Duch Najwyższy) dał nam włosy wszędzie, gdzie człowiekowi trzeba...

— Isenramte!... (Co znowu!) — śmiały się kobiety.

— Jak im trzy włoski wyskoczy na pysku, to je bardzo hodują. Chcą być podobni do panów z za morza! Ajnu bota!... (O tak, jakim ajnu!...) A my nie potrzebujemy się starać o to, bo jesteśmy jak wy od wieków!... zwracali się do nas.

Znowu napełniono nam czarki i znowu musieliśmy gładzić uroczyście brody i pić obrzydliwą „sake“.

Czemby się skończyła uczta, doprawdy nie wiem, gdyż podniecenie wzrastało niesłychanie i zaczęło udzielać się nawet kobietom i dzieciom, które ucztujący szczerze obdarowywali poczęstunkiem „paczies“, podawany z tyłu za siebie niedopitemi czarami. Już byłem przygotowany na pożyczanie trzeciego jena gospodarzowi, przysuwającemu się do mnie znowu nieznacznie na kolanach, gdy rozległo się stukanie w futrynę drzwi. Nentasik, wychyliwszy się za matę, zawołała trwożnie na męża. Wyskoczył niezwłocznie na dwór, a po chwili wrócił zmieszany ze zdjętą koroną w rękę i szepnął:

— Policja!... każą się rozejść!...

„Dostojni“ milczeli chwilę.

— Nawet pobawić się niewolno!... — mruknął wysłaniec Samukusia.

Poddali się wyrokowi i wyszli, z żalem widocznym porzucając niewypitą wódkę. Gości z Sikju zaprosił do siebie Ekas-tepa.

Nazajutrz zrana uczniowie miejscowej szkoły urządzili przed naszym mieszkaniem patryjotyczną manifestację: przemaszerowali sprawnie z drewnianymi karabinkami na ramionach, przerobili parę ruchów wojskowych oraz chwytów bronią. Śpiewali bardzo głośno i nieustannie japoński hymn narodowy. Połowa była Ajnosów, połowa Japończyków i przewodził im 14-to letni Sakoci, syn Saretti'ego, „wielkiego mądrali i zwolennika Japończyków“. Przekonawszy się, że ćwiczeniom ich przyglądamy się dość spokojnie, chłopcy rozeszli się: część poszła do domów, część pociągnęła nad morze, gdyż przed stawianiem „nusa“ miały odbyć się igrzyska. Udaliśmy się za nimi. Igrzyska polegały na bieganiu, skokach i rzucaniu oszczepem. Udział w igrzyskach brała wyłącznie młodzież i widok był doprawdy malowniczy. Za teren służył równy szlak żółtego piachu ubitego i wciąż lizanego przez perłowe fale, za tło przezczysty szafir pogodnego nieba, oparty o błękitne lustro Oceanu. Takie dni ciche, ciepłe i słoneczne zdarzają się tam dość często w początkach jesieni. Szczególnie pięknie wypadło rzucanie oszczepem, długą dzidą (op) jakiej Ajnowie używają do połowu większych ryb: delfinów, narwali, rekinów i „miecz ryby“. Za cel służył kawałek spróchniałego drzewa położony o 30 metrów od mety. Na mecie stawali po kolei młodzieńcy zupełnie nadzy, z wąziuchną jedynie opaską dookoła bioder i odchyliwszy się wdzięcznie w tył, rzucali dzidami z rozmachem. Gromada widzów przeważnie młodych kobiet i dzieci, z okrzykami: „Isziri-Kurautcie!“, „Chotara!“, „Isenramtel!“, „Iram-szit-ner!“ wyrażała swój zachwyt lub

naganę. Opodal na wzgórkach siedzieli brodaczy starcy i spokojnie, poważnie przyglądali się zabawie. Powiało na mnie wspomnienie greckich płaskorzeźb. Uczta dnia poprzedniego, o której opowiadano po wsi, że Japończycy przerwali ją strzałami, zdobyła nam taką życzliwość wśród Ajnów, że pozwolili mi nie tylko sfotografować, lecz nawet skinematografować swoje igrzyska. Kinematograf miałem starego systemu, ogromne pudło z jesionowego drzewa, które dużo zabierało czasu przy ustawianiu na trójnogu, mimo to nowi nasi przyjaciele cierpliwie czekali i umyślnie powtórzyli wszystkie swoje zawody. Nastrój był we wsi świąteczny, nikt nie pracował, prócz tych, co przygotowali potrzebne „inau“. Skorzystaliśmy z tego i w towarzystwie Spańrama zwiedziliśmy kilka domów po drugiej stronie rzeczki „Pec“. Między innymi odwiedziliśmy Sarette, owego „mądrałę“ lubiącego japońskie obyczaje. Mieszkał istotnie w domu napoły japońskim, ozdobionym japońską podłogą, zasuwaniem drzwiami i oknami. Siedział właśnie pod oknem i czytał japońską książkę. W rogu izby dostrzegliśmy buddyjską bożnicę. Nie przeszkodziło to jednak, że po rogach i za belkami pułapu i nawet w samej „bożnicy“ wisiały całe szeregi starych i nowych „inau“ i że „mądrała“ obiecał swój udział w dzisiejszym „nusa“. Przy naszym wejściu włożył na nos okulary ze zwykłymi wprawdzie szklami, gdyż oczy miał dobre i był nawet „wypatrywaczem śledzi“ (przyływu ławicy ryb) w spółce rybaczej, lecz noszenie okularów jest tam oznaką uczoneści. Mimo „uczoności“ wolał się jednak nie narażać ani bogom ani ludności. Żonę miał Japonkę. Z dziećmi

mówił w domu po japońsku.

Starszy syn jego patrzył na nas chmurnie, nie chciał od nas nic przyjąć i nawet z nami nie gadał.

Przed wieczorem oznajmiono nam, że obrzęd „nusa“ zaraz się zacznie. Udaliśmy się nad brzeg morza, dokąd zwolna schodziła się cała wioska. Na wydmie piaszczystej, nagiej od strony morza, a porosłej głogiem, trawą i ostami od strony lądu skupiło się kilku „rzeźbiarzy inau“, przywiązując je do długich patyków rzędem wetkniętych w szczyt wydmy. Gromady dzieciaków zupełnie gołych lub prawie gołych, rozgrywały dalszy ciąg igrzysk, strzelały z małych łuków, rzucały dzirytami, goniły się dookoła łodzi stojących szeregiem na walcach tuż u linii nabiegających na piaski fal. Zapadał zmierzch. Na pociemniałych górach chmurzyły się strzępy czarnych obłoków niby zwieszona ajnoskie czupryny. Jedynie nad kraterami wulkanów świeciło niebo zamglonemi gwiazdami, jak gdyby opary spędził stamtąd gorący oddech ziemi. Z boku na zachodzie za wysokim przylądkiem gasła zorza jak rozsypany złoty proch, rzucając nici wątlej, miedzianej poświaty na granie gór, na kłębowiska czarnych lasów i kanty trzciniowych ajnoskich strzech. Drożyną od wsi kroczyli starcy we wzorzystych długich biało-czarnych ubiorach, niosąc białe „inau“ oraz lakowe rytualne naczynia: czary, kubki i wiadra; każdy dostarczał, co miał najlepszego. Morze jednostajnie szumiało, kołysząc się długimi falami. Samotna obca łódź spieszyła ku brzegowi to ginąc to pojawiając się na pagórkach bałwanów, od czasu do czasu z jednostajnym dudnieniem przelatał w głębi doliny pociąg.

Zebrali się wreszcie wszyscy gospodarze i usiadłszy kołem w pobliżu wzgórka zaczęli się naradzać co do kolejności rozmieszczenia „inau“. Każdy żądał dla siebie pierwszeństwa, trzeba się było dobrze zastanowić, żeby nie obrazić, nie skrzywdzić żadnego z ludzi-bogów. Przewodził obradom energiczny, niestary jeszcze Ajnos w ciemnym kimono z czerwonymi i białymi wzorzystymi wstawkami na plecach. Nie znaleźmy go, więc podszedł i, nie wymieniając nazwiska, przywitał się z nami „gładzeniem brody i tarcieniem dłoni“. Tłumaczył nam z odcieniem wyższości, że ponieważ ryby jest mało, ludzie postanowili zwrócić się do bogów, że zwyczaj ten jest u Ajnów odwieczny, że będą pili „sake“, że bardzo rad jest, że i myśmy wzięli udział w uroczystości. Tymczasem młodzież rozkładała maty przed „inau“ rozstawionymi półkołem na wzgórku od strony morza. Taki wzgórek nad wodą nie zalewany falami i porośły poczęści trawą, bardzo jest ceniony, jako miejsce wszelkich ceremonij i zwie się „masara“.

— Z początku będą się modlili starzy potem młodzi!... — objaśniają nas. Trzech brodaczy siada bliżej „nusa“ przed olbrzymią „sintoko“ (wiadrem lakowem) pełnem „sake“. Jeden z nich wygłasza długą uroczystą przemowę o bogach, rybach i ludziach. Młody „podczaszy“ nalewa wódkę do 4 czarek, stojących przed trzema starcami, — 4-ta dla bóstwa. Kładzie na nie cztery piękne „ochraniacze wąsów“. — Przed czarami klęka czterech starców i zaczyna modlić się z twarzą zwróconą ku niebu i morzu. Modlitwa podobna do mamrotu rozgniewanego niedźwiedzia, przerywana jest nierówno głośnami wykrzyknikami. Głosy mieszają się,

zlewają w burzliwy recitativ... Z rozmaitych domów znoszą wciąż znaczne ilości „sake“. Ofiarowana przez nas przedstawia zaledwie małą cząstkę. „Podczaszy“ zlewa je do wspólnego „sintoko“, a „czerpacz“ przelewa ją do opróżnianych pobożnie „czarek“. Od czasu do czasu kropią wódką „inau“. Nowych czterech brodaczy siada obok trzech pierwszych, znów długo się modlą, gładząc brody i wyciągając ręce... Wstają, unoszą czary ku niebu... Siadają. — Znów piją, modlą się, piją, skrapiając „inau“: na czubku, gdzie mieści się pierwsza korona kędzierzawych strużyn i pośrodku, gdzie czasami rysują usta oraz nadole tam, gdzie zaczyna się „noga“. Skrapiają dość skąpo, więcej piją sami. Młodzież z niecierpliwością oczekuje na swoją kolej i pilnie śledzi, żeby nie było nadużyć. Nasz gospodarz przezornie odstawił wielkie wiadro ofiarowanej przez nas „sake“ na bok dla „ciężkich bogów“. Do nich będą się modlili on z Ekaśtepem. Uroczystość zakończyła się późno w nocy powszechną pijatyką, kiedy wódkę rozdawano wszystkim, nawet kobietom i dzieciom. Wzeszły wysoko nad morzem księżyc oświecił tem samym srebrnym światłem, co za czasów Anakreonta wspaniały pochód do domów starców, wiodące ich krzyczące kobiety oraz nagich swywolnych wyrostków.

Z pewnym niepokojem oczekiwaliśmy nazajutrz, jak też poskutkują modły. Gospodyni podzielała nasze obawy i w miarę jak słońce opuszczało się ku zachodowi coraz częściej wychodziła przed chatę i przysłoniwszy ręką oczy spoglądała na błękitniejące w oddali morze. Przybiegł wreszcie jeden z chłopców z wiadomością:

— *Płyną!*...

Cała dzieciarnia z Siotunas na czele a za nimi Spańramowa pobiegły nad morze. I my tam poszliśmy. Połowa wsi stała na wydmach, gdzie bieleło wczorajsze „nusa“, i wpatrywała się w purpurowy od zorzy zachodu łuszczący się falami bezmiar Oceanu. Myśmy tam nic nie widzieli, lecz krajowcy twierdzili, że rybacy wracają, że będą niedługo, gdyż zaczął się „wielki przypływ“. Istotnie ogromne fale coraz wyżej wzdymały pienne, zawijające się wały potwornych wodnistych warg. Po morzu szła z kresów widnokregu groźna fioletowa smuga i na tej smudze dostrzegliśmy nagle czarny punkt, potem drugi i trzeci — całą flotyllę szybko zbliżających się łodzi. Niedługo już mogliśmy rozróżnić wiosła miarowo bijące u ich boków. Kołyszące się bałwany to chłoneły je, to wysoko wznosiły ku niebu. Już były zupełnie blisko, rozróżnialiśmy postacie ludzi i ich twarze, ryk morza głużył jednak wszelkie głosy. Przypływ podnosił góry wody na dziesiątki metrów i skręciwszy je rzucał na brzeg z miażdżącą siłą wodospadu. Wyraziłem powątpiewanie, czy będą wstanie wylądować.

— Wylądują! — uśmiechnął się Tarońci.

Łodzie uszykowały się skośnym szeregiem. Od pierwszej dzieliła nas jedna zaledwie fala. Zebrani na brzegu ludzie rozbili się na grupki i rozbiegli wzdłuż brzegu. Olbrzymia góra wodna porwała pierwszą łódź i zawijając z rykiem szczytowe węłny, poniosła ją ku nam. Rybacy bijąc w tył wiosłami lekko, jak szklarka skrzydłami, utrzymywali stateczek poza wałem piany, którego skręty wyprzedzały ją zaledwie o kilka metrów. Podziwiałem

zręczność i zimną krew rybaków. Bałwan z łoskotem spadł na brzeg, zrzucił ze swych wypukłych bark stateczek tuż u naszych nóg i z sykiem się rozlał. Natychmiast rybacy wyskoczyli z łodzi i pociągnęli ją za dziób i burty ku lądowi. Chłopcy z naszego grona pośpieszyli im z pomocą, zaczepili do wbitego w dziób łodzi kółka długą linę stojącego opodal kołowrotu. Do jego drągów wprzęgli się natychmiast starzy i młodzi. Obok włochoatego jak satyr starca, szła półnaga kobieta z dzieckiem na plecach; obwisłe jej piersi przelewały się wciąż przez drąg kołowrotu; za nią prężył się zupełnie nagi, jak z brązu odlany młodzieniec, dalej dziewczyna z opaską płócienną dokoła bioder, z wąsami wytatuowanymi na ustach, z sinemi rysunkami na wyciągniętych rękach, znów kobieta starsza zczerniała w pracy z podobnym tatuowaniem na ustach, policzkach i ramionach z kosmykami włosów opadającymi na zwiędłą twarz...

Wszyscy usilnie pracowali całym ciałem, wpierając żylaste nogi głęboko w piach... Obraz pracy kamiennego wieku!... Mali chłopcy podkładali tymczasem walce pod dno łodzi, rybacy wlekli ją za burty... Zanim nadbiegła druga fala już statek stał bezpiecznie na suszy na dźwigarach. Spańram uroczyście wyjmował z niej zdobycz i kładł do koszów.

Powiodło się! Prócz drobniejszych ryb udało się schwytać dwie ryby — miecze tak wielkie, że musieli je ćwiartować na morzu, żeby załadować na dwie łodzie. Młodzież poniosła zdobycz do domu, dokąd pospieszył i Spańram z uszczęśliwioną Neńtasik, dźwigającą

niedźwiedzią torbę z wyschlą głową lisa zabitego rok temu. Torbę tę wieszają zawsze na dziobie statku, wyruszającego na połów, gdyż przynosi ona szczęście.

Zdobycz przez „święte okno“ podano z podwórza gospodarzowi, który porozwieszał ją na hakach w pobliżu okna. Napełniono kotły wodą i zaczęto warzyć obfitą kolację; jednocześnie do chaty wchodzili jeden za drugim sąsiedzi, którzy nie brali udziału w wyprawie, lub którym nie poszczęściło się przy połowie, każdy dostał kawał ryby odpowiedni do wielkości swej rodziny i dobrego stosunku z gospodarzem.

— A wszystko dlatego, że mogłem pomodlić się „Ciężkim bogom“.

— Oni was lubią!... — oznajmił uprzejmie Spańram.

Wypadki ostatnich dni bardzo zbliżyły nas z krajowcami. Opowiadano upiększane z dniem każdym legendy o naszej odwadze, przyjaźni dla Ajnów, szczerości... Wszędzie witano nas z życzliwym uśmiechem, z zachwytem powtarzano nasze żartobliwe odpowiedzi, chętnie pokazywano nam skarby rodzinne: czary lakowe, szable starożytne z rogu, kości lub drzewa, cenne odwieczne amulety. Nawet ceny na nie zmaląły. Sława nasza rozbrzmiewała szeroko. Korzystając z niej zwiedzaliśmy sąsiednie wioski Si-ki-ju, Staja, Micibiki, Ksun, Otu Kambet... Wszędzie towarzyszył nam Spańram Nomura, albo posyłał kogo ze swoich, wreszcie polecał jakiemu krewnemu swojakowi „dobremu człowiekowi“... Przebywaliśmy więc wciąż w atmosferze przyjaźni i zaufania. Wprawdzie towarzyszył nam zawsze w tych

wyprawach Kaku-song-kocio lub jego pomocnik, co nam bardzo psuło humory, lecz Ajnowie umieli się zawsze go jakoś pozbyć, tak, że choć parę godzin pracowaliśmy bez nadzoru. Wtedy otwierały się gęby i serca. Notatki nasze rosły jak na drożdżach. B. Piłsudski skwapliwie zapisywał zagadki, pieśni, bajki i legendy, ja rysowałem, fotografowałem, kinematografowałem, przeprowadzałem badania rodowe, ekonomiczne, opracowywałem tablice „pokrewieństwa“... Jednej rzeczy bardzo ważnej nie mogłem tu przedsięwziąć, gdyż nie miałem warunków odpowiednich: nie mogłem robić pomiarów antropometrycznych oraz badań uwłosienia. Do tego potrzebne było oddzielne pomieszczenie, gdyż Ajnowie, którzy wcale nie wstydzili się nagości, uważali za brak wychowania i ujmę dla gospodarza zdjąć szaty w cudzym domu. Musiałbym więc nosić przyrządy z chaty do chaty i to na niepewne, gdyż lada kaprys psuł nastrój i osobnik już przekonany, nie chciał się za żadne pieniądze, nawet za wódkę, rozebrać. Po paru próbach musiałem się wyrzec zamiarów, gdyż otrzymana raz odmowa lotem błyskawicy rozchodziła się dokoła i tworzyła „odmowną modę“. Każdy chytrze napraszał się, żeby go zmierzyć, a gdy przyszło co do czego, nagle stawał dęba. Zresztą niebardzo nastawałem. Okolica była mocno zjaponizowana nie tylko pod względem obyczajów, wierzeń, języka, lecz i co do typu. Nie było rodziny, gdzieby nie było domieszki krwi japońskiej, wiele z nich chlubiło się pochodzeniem od Japończyków. Małżeństwa mieszane były bardzo liczne. Wszystko to kazało nam dla lepszego zbadania rasy przenieść się w głąb

kraju do osad leżących zdala od morskiego brzegu i starodawnych dróg handlowych. Postanowiliśmy zacząć od doliny rzeki Saru, od siola Piratori jednego z większych ośrodków ajnoskich.

— Tam już zaczyna się „gospodarstwo leśne“ naszych przodków. Ale mieszkańcy Saru są zbóje i najwięcej ich siedzi w więzieniu w Sapporo!... — pouczał mię wójt Ekastepa. Nentasik, Isiuci i wiele innych kobiet otwarcie wyznały, że się na nas zawiodły, że myślały, iż ożenimy się z którą z ich córek i zostaniemy nazawsze. — Spańram drapał się w głowę i obwieścił, że jeżeli tak już ma być i mamy go opuścić, to jednak nie może się to stać tak „poprostu“, musi się odbyć pożegnalna uczta. Z tego powodu proszono nas abyśmy odłożyli nasz wyjazd na kilka dni, gdyż trzeba przygotować trochę „sake“ własnego wyrobu. Nie wypada, aby tak wielka uroczystość odbyła się wyłącznie kupionym od Japończyków trunkiem!

— Bogowie wolą „sake“ ajnoskiego wyrobu — twierdził stanowczo starszy brat Spańrama.

Czekaliśmy więc wyznaczonego dnia, nie przestając zwiedzać okolicznych wsi. Byliśmy na łowiskach ryb i oglądaliśmy niewody, składy i solarnie, suszarnie oraz budki strażnicze na wysokich słupach, skąd wypatrywacz śledzi za przybyciem ławic śledzi lub sardynek (iwas), z których przyrządzają głównie wyborny kompost do uprawy pól.

Nadszedł wreszcie nieunikniony dzień wyjazdu. W wilję od południa już nikt nie wyjechał na łowy i wszyscy zebrali się w największym w wiosce domu — Ekas-tepa.

Co to była za uczta!... Jestem przekonany, że legenda o niej żyje po dziś dzień wśród mieszkańców południowo-wschodniego wybrzeża Jesso. My sami sprowadziliśmy wódki za 25 jen (50 zł.) a Ajnowie naznosili jej całe morze. Co chwila zjawiała się gospodyni albo gospodarz z wiadrem białej, ryżowej „samogonki“ obrzydliwej w smaku ale wprost w użyciu oszałamiającej wskutek obecności w niej fuzli. Brodacze i gospodarze obsiedli wokoło ogniska. Nas posadzono rozumie się na pierwszym miejscu; za tem kołem umieściły się zaraz kobiety i młodzież, a poza niemi przewijała się nieustannie ruchliwa i śmieszliwa girlanda gołych dzieciaków. Krzyczano na nich co chwila i spoczątku było dość poważnie i cicho. Gładziliśmy uroczyście brody, modliliśmy się do „bliskich i dalekich“, „lekkich i ciężkich bogów“, skrapialiśmy wszystkie domowe „inau“ i cały szereg nowych wetkniętych w ognisko. „Czcigodni“ z pierwszego koła włożyli na głowy korony wiórkowe i wtedy po trzykrotnem chrząknięciu Spańram wspaniałym basem odśpiewał znowu hymn na naszą cześć. Kiedy opowiadał o naszym spotkaniu w Hakodate istotnie był wzruszony i w sarnich, czarnych oczach błysnęły mu łzy... Kiedy śpiewał o ofierze uczynionej przez nas „ciężkim bogom“, po których nastąpiła „wieczna pomyślność morskich łowów“ — pochwalne chrząkanie obiegło całe koło, a kiedy skończył życzeniem, żeby nasz odjazd był chwilowy i żebyśmy wrócili do nich znowu i już nazawsze, kobiety zaczęły klaskać w dłonie a mężczyźni zgodnie wykrzyknęli „ajo-ro-rope!“

Przemawiał jeszcze Ekaś-tepa, przemawiał starszy Spańram, przemawiało jeszcze kilku czcigodnych... Po każdej mowie krzyczeliśmy: „paresekoro!“ lub „chotara!“ (Niech żyje! hurra!) i piliśmy podnosząc uroczyście wasy „ochraniaczami“. Jużemy się nauczyli tej operacji! Mowy były coraz kwiecistsze, coraz dłuższe i coraz gorętsze... Mówiono wiele o przyjaźni, o braterstwie, o łagodności mądrych i złości głupich... Przyszedł czas, kiedy Bronisław musiał na wszystko odpowiedzieć. I on chrząknął po trzykroć, według zwyczaju i zaczął pięknie skandować swą mowę po ajnosku. Umilkły śmiechy i piski nawet wśród młodzieży. Mówił Bronisław o dobroci i gościnności Ajnów, o ich męstwie, o ich biedzie obecnej i o dawnej ich potędze i sławie, kiedy to wszystkie wyspy północy i południa były zaludnione przez naród „ajnu“, liczny jako gwiazdy na niebie!...

„Mało was, ale wspomagajcie się i kochajcie a będziecie silni i szczęśliwi, jakgdyby było was dużo!... Chotara ajnu!“ — zakończył.

Chwilkę trwali w głębokim milczeniu, potem wychylili czary. „Ekaś-tepa“ podniósł się i zdjęwszy koronę z własnej głowy włożył ją na głowę Bronisia. Spańram to samo uczynił ze mną. Poczem w długiej przemowie Ekaś-tepa oznajmił nam, że jesteśmy ich braćmi, że zostaliśmy przyjęci do plemienia...

— Wiadomo nam, o Broni-kuru, jak bronisz przed „orosami“ braci naszych na Kraftu (Sachalinie)!... — zwrócił się do Bronisia. — Bądź błogosławiony!...

Rozległy się krzyki, klaskanie w dłonie, pieśni. Kobiety

utworzyły za naszymi plecami wielkie koło i, przysiadając, przykucając, odtańczyły „święty taniec“. A myśmy wciąż pili i pili, od czasu do czasu posyłając za siebie wtył kobietom i młodzieńcom niedopitą czarę (paczież).

Sąsiedzi, gładząc brody, przysięgali sobie wieczną przyjaźń, przysięgli ją nam wszyscy obecni w kole... Łąły się łyzy rozczulenia, płynęła szerokim potokiem „sake“ pod wznoszone „ochraniaczami“ wąsy, — wesołość, krzyki, piski i pieśni, wzmagaly się z każdą nową kolejką. Już i kolejki porzucono nawet, każdy pił z kim chciał i kiedy chciał...

Wreszcie Ekaś-tepa zerwał się i otoczony wiankiem kobiet zaczął tańczyć taniec „niedźwiedzia“. Inni również zerwali się i cała chata zawirowała w podskokach, napełniła się pomrukiwaniem i rykiem niedźwiedzim... każdy miał parę, podrygiwał, porykiwał i drapał partnera pazurami... Mnie obrał sobie za tancerza Ekaś-tepa. Bronisia Spańram... Aż zmęczeni siadaliliśmy, aby pokrzepić się „sake“. Ale podniecone kobiety, dziewczęta i młodzież nie siadali na chwilę. — „Czcigodni“ również długo nie wytrzymywali podburzani widokiem swych rozszalałych żon. Odańczyliśmy taniec „wrony“, drugi taniec „niedźwiedzia“ oraz skoczny taniec „jelenia“. Niektórzy z czcigodnych już popadali na ziemię. Zaopiekowały się nimi kobiety. Spańram płakał, utknąwszy nosem w czarę... Jeden Ekaś-tep obtańcowywał niezmordowanie wszystkie kąty i wszystkie bogi... Młodzież dokazywała gdzieś poza chatą i słysząc było ich śpiewy i śmiechy i chrobot krzaków i zielska łamanego po ogrodach...

Podniecenie powszechne było tak wielkie, że błysk proszku magnezjowego zapalonego przezemnie dla zdjęcia fotografii, nie wywołał wielkiego wrażenia.

— Niech rąbią, niech palą!... Wszystko im wolno... Są nasi!... — mruzcili „czcigodni“, borykając się z żonami i synami, starającymi się uprowadzić ich do domów.

— Za karę musicie postawić jeszcze jedno „sintoko“ (wiadro) „sake“!... — bełkotał Spańram, chwytając mię za rękę.

— Jutro, jutro! — uspakajała go żona. — Chodźmy do domu, już się wszyscy rozchodzą!

— Milcz!... Co ty jesteś? Ty jesteś nic... Ty jesteś flondra (samambe)! Zostaję tutaj!... Żądam „sake“ — ryczał Ajnos, wrywając się z rąk kobiety. Ale niewiasty solidarnie wyciągały swoich władców z izby zatrutej wyziewami alkoholu. Zostali tylko ci, co ani ręką ani nogą ruszyć nie mogli.

Nazajutrz w południe odjechaliśmy pociągiem do stacji Hajaki, odprowadzani owacyjnie przez połowę ludności ajnoskiej wsi, druga połowa już o świcie odpłynęła na Ocean na połów ryb.

W Hajaki przenocowaliśmy w małej oberży japońskiej. Tegoż dnia jeszcze najęliśmy konie wierzchowe i przewodnika a nazajutrz rano wyruszyliśmy przez lasy do Piratori. Droga zupełnie podobna do naszych poleskich albo wołyńskich, biegła głuchą puszcza liściastą. Ogromne dęby, buki, klony, wiązy i orzechy a gdzie wilgotno — olchy i świerki, łączyły się z sobą wysoko koronami, niby arkady

gotyckiego tumu. Zwoje bluszczu i różnych pnączy oplatały tu i owdzie potężne pnie, ale naogół nie tworzyły nieprzebytej gęstwiny. Owszem, między drzewami przeloty były dość duże i wolne, o ile nie wypełniało ich podszycie wielkich paproci, głógów, leszczyny, derenia i sumaków, które tu dorastały rozmiarów naszych grusz i jabłoni. Liście tych pięknych drzew już miały purpurową barwę, która jak płomień pożarów błyskała w mroku lasów. Ajnowie uważają sumaki za drzewa trujące i unikają zatrzymywania się w ich cieniu a zgoła nigdy nie kładą się w ich pobliżu do snu. Droga była pusta. Raz tylko między drzewami przemknęło stado pstrych danieli, spłoszone tętentem naszych koni. Pierwszy raz natrafiliśmy na wioszczynę o jakieś 40 kilometrów od kolei, zdaje się, że nad rzeczką Mukawa w dolinie wśród lesistych wzgórz. Wioskę zamieszkiwali nawróceni na protestantyzm Ajnowie. Na czele ich stała młoda kobieta, umiejąca czytać i pisać po japońsku a nawet trochę po angielsku. Przywitała nas jak starych znajomych, gdyż mister Batchelor pisał jej o nas i polecił ułatwić nawiązanie stosunków z Ajnami. Chwilę wahaliśmy się, czy nie zostać czas jakiś w tej wioszczynie, lecz zbyt tu wszystko było żarliwie chrześcijańskie dla naszych studjów. Do Piratori zostało nam jakich 30 kilometrów. Przenocowaliśmy i nazajutrz popołudniu stanęliśmy nad rzeką Saru, co znaczy „trawiasta“. Istotnie wzdłuż brzegów rzeki ciągnęły się łąki, na których poraz pierwszy ujrzelśmy stada koni i czerwonego bydła. Ajnowie słynęli w dawnych czasach jeszcze przed przybyciem Japończyków jako hodowcy i pasterze koni.

Później zbiednieli, stada krajowych koni zmarniały i rząd japoński przywoził klacze rozplodowe i ogiery z Australji oraz Mongolji. Wieś ciągnęła się po stoku wzgórza panującego nad doliną; trzcinowe chaty były większe i miały szkielety z lepszego drzewa niż w wioskach nadmorskich, lecz również zdradzały w stylu japońskie naleciałości. Jedyne zajazd, w którym zatrzymywaliśmy się, zbudowany był po japońsku z desek, lecz pokryty strzechą ajnoską. W chwilę po naszym przyjeździe, zjawił się wójt, czcigodny *Penri*, o którym słyszeliśmy jeszcze w Hakodate. W życiu swoim nie widziałem jeszcze tak obrośniętego osobnika, nie dorównali mu nawet słynni włochacze, spotykani przeze mnie wśród kaukaskich ormian. Broda zaczynała mu się tuż pod oczami; podwiązana brudną szmatą czupryna zwieszała się kosmykami na czoło; z uszu, z nozdrzy wyrastały całe krzaki twardego włosia, pojedyncze włosy sterczały z końca potężnego nosa, rzęsy dorastały rozmiarów brwi a brwi podobne były do ogromnych strzępiastych wąsów. Ręce i nogi pokrywała sierść a z pod rozwartego na piersiach brzostowego kaftana wyglądały rudosiwe niedźwiedzie kłaki. Byłem zachwycony, ale *Penri* był mniej nami zachwycony, szczególnie z powodu znajomości naszej ajnoskiego języka.

— POCO było brać takich drogich tłumaczy!... — dowodził, błyskając oczkami, skrytymi wśród skłębionych kudłów. — Wyrzucone niepotrzebnie pieniądze... Ja mógłbym wam wszystko doskonale opowiedzieć!... Ja wiem wszystko, ja tu jestem najstarszy... Ja pamiętam

jeszcze szioguna Tokugawę, i bunt Inomoto w Hakodate, — pamiętam, i jeszcze jestem starszy... A mój dziad to znał samego „Jocicine“! (Joszitsune — XII wiek) i ma od niego pamiątkę, bardzo cenną pamiątkę! I mistera Batchelor znam, mistera Landora znam... I w Tokio byłem i na Kraftu (Sachalinie) byłem... Każdy się tu u mnie zatrzymuje i wy pewnie się zatrzymacie!...

Obiecaliśmy, że odwiedzimy go i pogadamy o tem. Poprosił nas o pożyczkę jednego jena, żeby mógł się godnie przygotować na nasze przyjęcie. Nie chcieliśmy zrażać starego, lecz postanowiliśmy odrazu, że wynajmiemy oddzielną chatę, gdzie będziemy mogli urządzić pracownię antropometryczną i ciemnię dla wywoływania fotografii. Do tej pory robiłem to w namiociku z podwójnej czarnej i czerwonej materji, lecz było to bardzo niedogodne. Przy pomocy naszego przewodnika, który należał do rodu Siraoj i nic sobie nie robił z gniewów Penri, znaleźliśmy bez trudu chatę, opuszczoną przez właścicieli na całe lato, gdyż najęli się do połowu śledzi przemysłowcom japońskim nad morzem. Zapłaciliśmy ich krewnemu żądane komorne, kupiliśmy kilka mat, trochę potrzebnych naczyń i urządziliśmy się wcale dobrze. Kosztowało nas to w dodatku o wiele taniej, gdyż ryb i zwierzyny mogliśmy poddostatkiem nabywać u Ajnów, a ryż, mąkę, suchary, cukier, herbatę przywieźliśmy ze sobą. Za strawne w zajeździe żądano od nas bardzo drogo, tyle co w Siraoj. Perni zaś, czuliśmy to, obdarłby nas napewno ze skóry. Udobruchaliśmy starego, kupiwszy u niego jakieś fatałaszk

i obiecawszy „sutą modlitwę do ciężkich bogów“, jeżeli się pozwoli zmierzyć i sfotografować! Nazajutrz rano zjawił się ubrany w najpiękniejsze swoje kimono z brzostowego łyka w czarno-czerwono-białe wzory. Zdziwił się bardzo, kiedy zaczęliśmy go prosić, żeby ubranie zdjął. Długo się wzdragał wreszcie ustąpił, ale z warunkiem, że odprawimy drugą modlitwę do „ciężkich bogów“. Wytargowaliśmy jeszcze, że pozwoli się zmierzyć. Po odbytej operacji westchnął ciężko i zapytał: poco nam to? Wyjaśniliśmy mu, że chcemy dowiedzieć się, czy Ajnowie są „sisiam“ (Japończycy), czy „furesisiam“ (czerwoni Japończycy, Europejczycy)?

— Ajnu bota! (Ach!...) Rozumiem: jeżeli my będziemy wy, to wy tę ziemię zabierzecie!... — krzyknął. Daremnie mu to staraliśmy się wybić z głowy. Nie uwierzył nam i zakończył obietnicą, że nic nie powie Japończykom, gdyż ich nie lubi, a kiedy był na Krafcie, to mu się Rosjanie bardzo podobali... Ale milczenie jest to bardzo bolesna rzecz! Ona w brzuchu człowieka wciąż kręci i dlatego będzie musiał często odmawiać modlitwy do „ciężkich bogów“.

Nie odmówiliśmy mu pomocy w tych modłach z warunkiem, że nam będzie przysyłał ludzi do mierzenia i fotografowania.

— Ile za to dacie?...

— Każdemu zmierzonemu damy srebrnego jena a tobie 10 sen (20 groszy).

— Czy i kobiety też potrzebujecie?

— Owszem, potrzebujemy też kobiety!...

— Przyślę wam zaraz moją żonę! Czy nie za stara?... Chociaż ona tak staro wygląda, ale jest trzy razy ode mnie młodsza!...

Tu długo i szeroko opowiadał nam, że miał dawniej trzy i cztery żony naraz, ale teraz wystarcza mu jedna. Tegoż dnia jeszcze zmierzyliśmy żonę Penri oraz męża jego siostrzenicy Jąkę a nazajutrz przyszła i sama siostrzenica — młoda i ładna kobieta. Dzięki energicznej propagandzie Penri nie brakowało nam ochotników do pomiarów; gorzej było z kobietami, które nie chciały się rozbierać, chociaż nie chowały się wcale, gdy spotykaliśmy je jedynie w opaskach wstydlivosti w domu przy pracy, lub na brzegu płótczące i bielące włókna wiązków i brzostów dla tkania. Ale największe trudności mieliśmy w uzyskaniu włosów; nawet mężczyźni za nic nie zgadzali się na ucięcie najmniejszego kosmyka, a próbki włosów miały być nietylko z głowy, lecz ze wszystkich miejsc gdzie one rosły. Bardzo nam o to chodziło, gdyż zjawisko włochości Ajnów, przy bliższych badaniach przewyższyło wszelkie znane nam opisy. Zdarzali się wśród nich osobnicy porośnięci tak gęstymi a głównie długimi włosami od pasa, że doprawdy zdawali się być sylenami i faunami uciekłymi z dawnych greckich i rzymskich obrazów. Niektórzy mieli nawet na krzyżu dłuższe wijące się nakształt ogonków kosmyki. Włosy te rosły dziwnie, nierówno, rozrzucone pęczkami po rękach, nogach i brzuchu. Na piersiach było ich mniej stosunkowo niż na plecach. Kobiety na piersiach nie miały ich wcale. U obu płci silna włochość zaczynała się dopiero od lat 30-tu. Najmniejsza domieszka krwi

japońskiej silnie wpływała na zmniejszenie włochatości. Po pewnym czasie nabraliśmy takiej wprawy, że odrazu poznawaliśmy mieszańców, co przy bliższym badaniu pokrewieństwa mierzonego osobnika zawsze się potwierdzało. Nietyle kształt czaszki i kośćca, nietyle cera — biała i rumiana u Ajnów, jednostajnie żółta u Japończyków — nietyle kształt oczów i prognatyzm zębów dawały nam odpowiednie wskazówki, ile charakter umięśnienia, muskulatury. Mięśnie i ich przyczepienia mają u Japończyków jakiś płaskawy, szeroki kształt, podczas gdy u Ajnów wyglądają one jak sznury i zwijają się jak węzły na wzór europejskich. Fotografia nagiego muskularnego Japończyka obok Ajnosa odrazu te różnice uwypukla, a z drugiej strony porównanie Ajnosa z europejczykiem niezbitcie wskazuje na ich rasowe pokrewieństwo. Sprawy te ogromnie mnie zajmowały: nie żałowałem zabiegów, aby zrobić jaknajwiększą ilość pomiarów. Włosy zdobywaliśmy ukradkiem, chowając nożyczki w instrumentach antropometrycznych. Zresztą w miarę jak zwiększała się liczba zmierzonych, wytwarzała się nawet moda na pomiary. Zaczęły się zgłaszać same, nawet młode kobiety, co dotychczas było rzadkością, gdyż jeżeli przychodziły, to z mężami. Mieliśmy nawet zatarg z tego powodu z jednym młodym Ajnosem, którego narzeczona wbrew jego zakazowi przysłała do nas i dała się zmierzyć. Zaskarżył nas do Penriego i Penri skazał nas na gorącą modlitwę do „ciężkich bogów“. B. Piłsudski zbierał również bogate żniwo: wierzeń legend, starych pieśni, znalazł tam bardzo dużo. Z początku Penri próbował wszelkie opowiadania

zmonopolizować na swój wyłączny użytek, ale wkrótce przekonał się, że albo powtarza rzeczy już opowiedziane przez siebie misterowi Batchelorowi, albo zmyśla i przerabia historyjki z podręczników szkolnych japońskich, wmawiając w nas, że to są najprawdziwsze ajnoskie bajki... Poszukiwaliśmy więc innych bazarzy i znawców bylin... Penri dobry był w lesie, gdzie nam pokazywał potrzaski i samostrzały stawiane przez Ajnów na zwierza. Chętnie opowiadał o prastarych zwyczajach myśliwców, tłumaczył znaczenie wilczych, psich i niedźwiedzich „nusa“. Bardzo pragnąłem zdobyć dla muzeum kilka wysuszonych łbów zwierzęcych, zatkniętych na tyki i ustrojonych wiórkami. Prawowierni Siraojanie słuchać nie chcieli o takim świętokradztwie, ale bywalec Penri rozstrzygnął tę rzecz bardzo prosto.

— Wiesz gdzie stoi „nusa“? W nocy nikt tam nie zagląda, bo tam krążą duchy... Jeżeli ja, w tym czasie, kiedy ty tam będziesz, będę się modlił do „Ciężkiego Boga“, to i ja i on nie będziemy wiedzieli, co się tam stało, zajęci — on słuchaniem, ja gadaniem!...

Rzecz jasna, że do modlitwy tak gorącej potrzebna była duża ilość „sake“. Wszystko szło pomyślnie, zmierzaliśmy zacząć wycieczki do pobliskich wiosek, gdy nagle zmieniło się. Zaczęto nas unikać, odwiedziny mieszkańców stały się rzadkie i krótkie. Jeden Penri jeszcze przychodził, ale i on stał się o wiele mniej gadatliwy. Daremnie probowaliśmy dociec, co to znaczy, posyłał się na zwiady Taronciego. Przebiegły mieszaniec brał pieniądze niby to na kupno „sake“ dla rozwiązania języków, lecz powróciwszy

uśmiechał się tylko i prawił nam niemożliwe jakieś banialuki o czarownicy z Rupeste, która zabraniała rozmawiać z cudzoziemcami. Zaczęło się dla nas przymusowe bezrobocie.

Wtem pewnego wieczoru zjawił się niespodzianie Penri i powiedział, że jeżeli my kupimy u niego „ikoro“ (miecz) samego „Icicine“ (Joszitsune), to on nam powie przyczynę powszechnej względem nas obawy.

— Tylko to „ikoro“ to jest wielka świętość, skarb rodzinny... Ja go jeszcze nikomu nie pokazywałem i kosztować on będzie drogo!...

Targ w targ zgodziliśmy się zapłacić za niego „półkonia“ (25 jen.) dziesięć jen daliśmy zaraz zadatku, resztę nazajutrz po obejrzeniu. — Prócz tego butelkę „sake“ wyleliśmy do „sintoko“ używanego przez nas przy zwykłych poczęstunkach i modłach do domowych „inau“. Parę dobrych czarek rozwiązało język Penriego; zaczął cichym szeptem:

— Widzicie, przyjechało tu dwóch Japończyków, powiadają, aż z Hakodate. Jeden z nich, wielki pan, chodzi z czarnym parasolem... Oni bardzo ciekawi, co wy robicie, o wszystko się wypytują i wieczorami pod oknem podglądają... Oni to bardzo się na ludzi gniewają, jeżeli do was chodzą!... Ludzie boją się... Ja co innego, ja byłem w Tokjo, w Hakodate, w Sapporo, na Kraftu... Do mnie tu wszyscy „niszpa“ z północy i południa chodzą, ja się nie boję, ale biedny mały „ajnu“ się boi!... Bo taki pan z parasolem to on zna się i z Kaku-song-kocio, i z nadzorcą brzegowym, i leśnym, i z samym nawet gubernatorem... To

on wiele może szkodzić!... I ja wam powiem, że wy lepiej wyjeżdżajcie do Rupešte do tej słynnej czarownicy... Ona wam wiele ciekawego opowie i zobaczycie tam nowe „inau“, jakich niema gdzieingdziej... A tutaj jak kupicie moje „ikoro“, to już więcej nic ciekawego do zdobycia nie będzie!...

...Przymrużył oczko i kiwał nam głową porozumiewawczo. Wiadomość była przykra, gdyż coś widocznie zaszło, co groziło zupełnem sparaliżowaniem nam pracy. Postanowiłem napisać do poselstwa z prośbą o usunięcie niezrozumiałych przeszkód, a tymczasem postanowiłem istotnie wyjechać gdzieś dalej od niepowołanych opiekunów i zacząłem umawiać się o konie z tym obrażonym narzeczonym, który się nagle przeprosił i sam przyszedł z propozycją wynajmu wierzchowców. Już nawet wyznaczony był dzień wyjazdu, zadatek został przez nas wypłacony, gdy niespodzianie zjawił się w południe Spańram. Był zdrożony, głodny i zasadziliśmy go zaraz do obiadu. Radość powitania truła nam wszakże obecność Penri, który zjawił się razem z naszym przyjacielem i nie odstępował go na chwilę. Na pytania nasze o znajomych, krewnych, o sprawach Siraojskich, Si-kjuskich i innych, Spańram odpowiadał niechętnie, półgębkiem, rozumieliśmy, że coś kryje, czego nie chce mówić przy wójcie, kazaliśmy mu więc iść spać, gdyż całą drogę szedł piechotą i wstał bardzo rano, a sami cierpliwie czekaliśmy, aż sobie Penri pójdzie. Ten zaprosił nas na oględziny „ikoro“, które okazało się lichą japońską szablą w marnej, wytartej oprawie. Brzeszczot nawet nie był stalowy, lecz

żelazny i giął się w ręku jak blacha. Penri próbował nas upewnić, że właśnie takie były starożytne miecze japońskie. Nawet nie udawaliśmy, że wierzymy, wypłaciliśmy umówioną kwotę i pożegnaliśmy starego. Chciał nam towarzyszyć pod pretekstem, że tak wielki skarb „ikoro“ musi być przez niego samego dostarczony na miejsce. Oparliśmy się jednak temu stanowczo, dodając mu odstępnego ćwierć jena. Taronciego posłaliśmy do przewodnika przypomnieć mu, żeby na pojutrze przygotował konie a sami coprędzej wróciliśmy do domu. Bronisław obszedł chatę, żeby zobaczyć, czy nikt nie podsłuchuje, a ja zbudziłem Nomurę.

— Jesteśmy sami. Mów przyjacielu!

— Po to przyszedłem!... — zaszeptał, siadając na macie.
— Słuchajcie! idzie wojna!... Mówią o was, że wy jesteście wojskowi wywiadowcy!... Że ty — zwrócił się do mnie — swoją żółtą maszyną wykręcasz wszędzie plan miejsca, że przyjdą tu z okrętami „orosi“, miejsca te „orosi“, zabiorą, ludzi pozabijają, że wy ich sprowadzicie^[2]... Dlatego powiadają, że trzeba was zabić, że trzeba wam zabrać wszystkie wasze pisanie, fotografie i te kręcone wstęgi... żeby nic ze wszystkiego coście tu widzieli nie doszło do ludzi... Dlatego nie jedźcie do Rupeste, bo to daleko w górach i Japończycy tam na was zrobią zasadzkę. A potem co? Powiedzą, że rozbójnicy i nic... Lepiej wracajcie do nas do Siraoj, gdzie wszyscy was lubią i tęsknimy do was!... Poto przyszedłem, nie jedźcie do Rupesto, nie jedźcie!...

Był bardzo wzruszony i my sami byliśmy również wzruszeni nietyle zresztą ostrzeżeniem o niewiarogodnych

jakichś zamiarach Japończyków; ile 60 kilometrami drogi przebytemi przez poczciwca w celu uratowania nas od rzekomego niebezpieczeństwa. Gdyśmy wyrazili wątpliwość co do zamiarów japońskich. Nomura zaczął nas błagać, żebyśmy go posłuchali...

— Posłano za wami nie zwykłą policję, lecz gorszą... Tutaj siedzi taki, powiadają, żandarm!..

— Z jakiej racji? Skąd? Co my takiego robimy?...

— Ja nie wiem. Wojna powiadają... Piszą w gazetach!...

Byliśmy tak dawno i tak gruntownie odcięci od świata, że wiadomość ta spadła na mnie jak grom z jasnego nieba.

— Ee!... Wojna jeżeli będzie, to nieprędko, a policja, którą za nami posłano będzie lepsza, bo rozumiejsza... Nic nie robimy takiego, co potrzebowaliśmy ukrywać!... Zaraz napiszę do Sapporo i wyślę filmy z prośbą, żeby kazali wywołać i przekonali się, że nic tam niema prócz tańców, igrzysk, zwykłych „karakty“, tkania, płócien, powrotu łodzi i stawiania „nusa“... — dowodziłem.

Spańram wydawał się niepokieszony. Nazajutrz rano odszedł obdarowany przez nas i ugoszczony, błagając do samego końca, żebyśmy nigdzie nie zapuszczali się w głuchoe kąty. W Piratori wszakże nie mieliśmy już co robić. Po naradzie z Bronisławem postanowiliśmy więc nie przerywać pracy z powodu tak na niczem nie opartych strachów, do Rupesta jednak na razie nie jechać, a przenieść się dalej na wschód do dystryktów Kusziro albo Nemuro, gdzie było drugie poważne skupienie ludności ajnoskiej.

Zatrzymaliśmy więc zamówione konie z tem, że nas powiozą nie w górę, lecz wdół rzeki Saru.

Zajęci byliśmy właśnie układaniem planu i przygotowaniem do podróży, gdy wpadł Penri, wołając:

— Goniec rządowy!... Macie pismo!

Podał nam dużą kopertę zaopatrzoną rządowymi pieczęciami. Trochę zdziwieni i poruszeni otworzyliśmy ją niezwłocznie. Konsul z Hakodate pisał, że z polecenia poselstwa uwiadamia nas, iż mamy natychmiast przerwać ekspedycję i wrócić do Tokio. Wtedy powiedziałem do zasmuconego Bronisława:

— Tak!... Wojna Rosji z Japonją. Co też ona przyniesie Polsce!?



1. ↑ Wymawia się „pidzin“ — mieszanina chińskich, japońskich, angielskich i rosyjskich wyrazów.
2. ↑ Fatalność chciała, że w rok potem krążownik „Nowikow“ istotnie ostrzeliwał Siraj i wioski pobliskie.

Przypisy



Tekst jest własnością publiczną (**public domain**). Szczegóły licencji na stronie autora: [Wacław Sieroszewski](#).

O tej publikacji cyfrowej

Ten e-book pochodzi z wolnej biblioteki internetowej [Wikiźródła](#)^[1]. Biblioteka ta, tworzona przez wolontariuszy, ma na celu stworzenie ogólnodostępnego zbioru różnorodnych publikacji: powieści, poezji, artykułów naukowych, itp.

W publikacji została zachowana oryginalna ortografia, oczywiste błędy w druku zostały poprawione przez redaktorów Wikiźródeł. Przypisy dodane przez redaktorów oznaczono logiem Wikiźródeł.

Wersja źródłowa tego e-booka znajduje się na stronie: [Wśród kosmatych ludzi](#)

Książki z Wikiźródeł są dostępne bezpłatnie, począwszy od utworów niepodlegających pod prawo autorskie, poprzez takie, do których prawa już wygasły, i kończąc na tych, opublikowanych na wolnej licencji. E-booki z Wikiźródeł mogą być wykorzystywane do dowolnych celów (także komercyjnie), na zasadach licencji [Creative Commons Uznanie autorstwa-Na tych samych warunkach wersja 3.0 Polska](#)^[2].

Wikiźródła wciąż poszukują nowych wolontariuszy.

[Przyłącz się do nas!](#)^[3]

Możliwe, że podczas tworzenia tej książki popełnione zostały pewne błędy. Można je zgłaszać na [tej stronie](#)^[4].

W tworzeniu niniejszej książki uczestniczyli następujący wolontariusze:

- Ankry
- KapiX
- Sempai5
- Zdzisław
- Wieralee
- Himiltruda
- Rocket000
- Boris23
- KABALINI
- Bromskloss
- Tene~commonswiki
- AzaToth
- Bender235
- PatríciaR

1. [↑](https://pl.wikisource.org) <https://pl.wikisource.org>

2. [↑](http://www.creativecommons.org/licenses/by-sa/3.0/pl) <http://www.creativecommons.org/licenses/by-sa/3.0/pl>

3. [↑](https://pl.wikisource.org/wiki/Wikiźródła:Pierwsze_kraki)
https://pl.wikisource.org/wiki/Wikiźródła:Pierwsze_kraki
4. [↑](http://pl.wikisource.org/wiki/Wikisource:Skryptorium)
http://pl.wikisource.org/wiki/Wikisource:Skryptorium